

W NUMERZE: O udziale Polaków w ofensywie styczniowej pisze gen. Leon Dubicki ■ Z wizytą w Bułgarii jest Lucjusz Włodkowski ■ Jerzy Witczak zastanawia się nad trwałością małżeństwa ■ Tadeusz Papier — o Jasiu Jedynaku ■ „Zwierzęta futerkowe, skrzydełkowe i inne“ w miniaturach Piotra Słowikowskiego ■ Poezja ■ Poza tym recenzje — felietony — polemiki

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódź



NR 9 (1108) ROK XXII

4 MARCA 1979 R.

CENA 3 ZŁ

Przyjaciele w potrzebie

Przed rocznicą we wszystkich jednostkach nastroj przedświąteczny: sumuje się wyniki współzawodnictwa, dekoruje sale, krążą listy przedstawionych do odznaczeń...

Jadąc Piętkowska do Komendy Dzielnicowej na Górnej z inspektorem ZDZISŁAWEM GRZELAKIEM przystaliśmy przed bramą „ESKIMO”. Inspektor wyskakuje z samochodu, aby zanieść do fabryki pudełka z odznaczeniami i legitymacje dla najbardziej zasłużonych członków zakładowej jednostki ORMO.

Najlepsza okazja nadarza się właśnie w tych dniach. Jest nią 33 rocznica powstania Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej.

Historia ORMO w Łodzi jest typowa: i tutaj — jak niemal wszędzie — podjęta przez Radę Ministrów w lutym 1946 roku uchwała była tylko prawnym usankcjonowaniem istniejącego stanu. Zanim doszło do powołania ORMO, tysiące Polaków stanęło przeciw u boku Milicji i Organów Bezpieczeństwa do walki zbrojnej z bandami podziemia. Bronili ludzkiego życia i mienia. To

TOMASZ SOLDENHOFF

dzięki nim również mogli ruszyć w terminie łódzkie fabryki... Nie można zapomnieć, że w tamtym, heroicznym okresie zginęło w walce ponad pięćset ludzi, funkcjonariuszy MO SB i ORMO.

Dzień dzisiejszy łódzkiej ORMO to ponad 15,5 tysiąca członków, w tym 2 tysiące — kobiet. Ponad połowę stanowią partyjni, prawie 80 procent — robotnicy. Najwyższą władzą w województwie jest Społeczny Komitet ORMO, któremu przewodniczy sekretarz KL PZPR, Klemens Kwiatkowski, władzą wykonawczą — Wojewódzki Sztab ORMO z komendantem płk. Kazimierzem Skwarą na czele.

Dzień dzisiejszy łódzkiej ORMO to także niemal pół tysiąca jednostek i grup specjalistycznych. Najwięcej członków — bo prawie 8 tysięcy — skupiają jednostki zakładowe (jest ich w łódzkim województwie prawie 200), 3 tysiące ludzi skupia się w jednostkach terenowych. O istnieniu tych dwóch rodzajów jednostek wiedza pracownicy łódzkich fabryk i przedsiębiorstw, mieszkańcy osiedli. Wiedzą, bo spotykają się z nimi niemal na co dzień, bo tworzą je sami.

Ale jest jeszcze druga, coraz bardziej liczna grupa jednostek. Mniej znana. Słabo bowiem jest jeszcze w społeczeństwie spopularyzowany fakt, iż działania Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej stają się coraz bardziej specjalistyczne. W ogniwach



Foto: Archiwum

HENRYK CZARNECKI

Henryk Czarnecki, pisarz i scenarzysta („Daleko od szosy”); sam znalazł się daleko od szosy, i to w zaspach. Oto jego relacja spisana na gorąco w 20-stopniowym mrozie.

ludzie z zasp

CZWARTEK Nic nie zapowiadało kłęski. Ani komunikaty, ani szeroka, twardo ubita śniegiem szosa. Wprawdzie za Ozorkowem trzeba było przystanąć na kilka minut za 2—3 ciężarówkami, aby przez wąski w tym miejscu śniegowy tunel przepuścić samochody jadące z przeciwną, wprawdzie raz jeszcze przed Łęczycą i raz za — na wiadukcie — potwórzyć to samo, ale i tak średnia utrzymywała się w granicach 40 km na godzinę, co, jak na te warunki, było czymś zupełnie normalnym, nie budzącym złych przeczuć.

Złe zaczęło się za Krośniewicami. Kiedy załoga „Nysy” najpierw musiała mnie przepchnąć tuż obok, gdy stanęliśmy tak naprzeciw siebie bezradni na coraz to bardziej zwyżającej się międzynarodowej trasie E-16, wykutej w coraz to wyższych tunelach. Potem — co kilkadziesiąt kilometrów trzeba wjeżdżać głęboko w zaśnieżone pobocza, aby jakoś móc się wyminąć, wreszcie na osmym kilometrze zatrzymać się za ogromną kolumną samochodów. Z przeciwnej strony tworzył się kilometrowy zator, który wolno, metr po metrze, najczęściej z użyciem łopat i ludzkich mięśni dopiero się zaczyna wywalać. Wmagający się z każdą minutą wiatr zdmuchuje z pół masy śniegu pod koła, najbliższe samochody stają się już ledwie widoczne w śnieżnej zadymce, zaczyna się ściemniać.

Postanowiłem nagle zawrócić, uciec od tego. Całe szczęście, bo tych 8 kilometrów do Krośniewic jechałem już przeszło 2 godziny — tak w międzyczasie zdolało drogę zdmuchać, nowe korki porobić.

O dalszej powrotnej drodze do Łodzi nie było już mowy, byłem też chyba ostatnim, który wydołał się z pół wiejących śnieżycą; od strony Włocławka nikt już się nie przebił, spośród jadących w tamtą stronę — nikt już dziś nie wrócił: pojechali o kilka metrów za daleko i na kilka dni stanęli wśród śniegu na polu.

Od strony Łodzi i od strony Włocławka — z obu stron miasta, na E-16 unieruchomione w potężnych zaspach około tysiąca samochodów. Miasto też obłożone samochodami, którym udało się jeszcze tutaj dojechać. W kierunku Włocławka i Łodzi zamknięte już drogi — milicja ustawia szlabany. Wznaga się wiatr, mróz coraz dotkliwiej daje się we znaki, tumany śniegu dokładnie i skutecznie zasypują stojące na szosie auta. Jedyne komunikaty brzmią jeszcze optymistycznie: „drogi główne przejezdne”. Nie dotarła jeszcze wiadomość o kłęsce — od strony Poznania, Warszawy nadjeżdżają wciąż wozy. Te, które zamierzają jechać w kierunku Łodzi, Włocławka, ustawiają się ciasno obok siebie na wszystkich skwerach, pla-

cach, uliczkach, ulicach. MO sprawnie rozlokowuje samochody, ale po godzinie, dwóch, miasto pęcznieje już od nich, daleko poza granice miasta wydłuża się kolejka tych aut, które na długo pozostaną już tutaj. Wieczór. Noc. Powoli wypala się w bakach benzyna. Nic nie zapowiada ratunku.

Lecz przyszedł. Wprawdzie nie z szos, w dalszym ciągu zamkniętych, ale miejscowy, serdeczny, natychmiastowy. A najważniejsze, że zmarznieli kierowcy nie czują się osamotnieni, pozostawieni własnemu losowi.

Samorzutnie i z inspiracji władz tworzy się szeroki front pomocy: jedyna w miasteczku restauracja-kawiarnia przedłuża swoje godziny pracy do... 24 godzin na dobę, decyzją naczelnika gminy i miasta sklep spożywczy otwarty będzie też przez całą noc, do apteki niemal do północy także zgłaszają się klienci.

W Urzędzie Miasta i Gminy błyskawicznie tworzy się sztab złożony z dyrektorów szkół i zakładów, któremu energicznie przewodzą naczelnik i sekretarz PZPR. Organizuje się punkty noclegowe i inne formy pomocy kierowcom.

PIĄTEK Wraz z sekretarzem, tow. Łopatowskim, odwiedzam świetlicę Kujawskiej Kolejki Dojazdowej w Krośniewicach (popularna „ciuchcia”). Na sali 16 kierowców. Materace, koce, w kuchni przez całą dobę gorąca herbata, ciepła woda do mycia. W drugim końcu budynku 10 uczennic, siatkarek z Radomia, którym nie udało się dojechać na zawody do Aleksandrowa. Sześć kilometrów za Krośniewicami całą noc przesiedziały w zaspach, w autokarze, teraz, na wersalkach, pod ciepłymi koldrami, odpoczywają do woli. Kolejarze z własnych, prywatnych funduszy, zorganizowali im — i tamtym 16 kierowcom — kanapki, herbatę. Rozmawiam z kierowcą, Ignacym Tyrzańskim z Gdańska, Barcikowskim — kierownikiem drużyny sportowej, z dziewczętami — nie mają słów uznania dla kolejarzy za ich pomoc, serdeczność, stworzenie im aż takich warunków. Od kierownika parowozowni S. Smolczewskiego, J. Binkowskiego dowiaduję się, że przygotowuje się dalszych 40 miejsc noclegowych do dyspozycji sztabu.

Podobnie serdecznie, prosto z zasypanych śniegiem samochodów, Zakłady Mleczarskie w Krośniewicach przyjęły przemarzniętych do szpiku kości kierowców, którzy aż do wyczerpania paliwa nie opuszczali przez całą noc swoich samocho-

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 3

Zadania pracy ideowo-wychowawczej wśród załóg zakładów przemysłowych były tematem obrad plenarnego posiedzenia Komitetu Łódzkiego PZPR w dniu 26 lutego br. Problemy te mają szczególne znaczenie w dużych skupiskach klasy robotniczej, a w województwie łódzkim do takich należą. Wystarczy bowiem przypomnieć, że trzy czwarte ogółu zatrudnionych w przemyśle — ponad 220 tys. osób — pracuje w 92 dużych przedsiębiorstwach o zatrudnieniu pow. 1 tys. osób. Odpowiednia waga tematu podkreśla także sytuacja, w jakiej się obecnie znajdujemy. Pod koniec ubiegłego roku miały miejsce ważne wydarzenia polityczne, jak XIII Plenum Komitetu Centralnego partii, a Sejm PRL podał decyzje nakreślające zadania społeczno-gospodarcze na 1979 rok. W styczniu i lutym odbyły się Konferencje Samorządów Robotniczych, podczas których przyjęto do realizacji wycinkowe, konkretne zadania planu. Dodajmy dla porządku, że początek roku — z wiadomych powodów — był trudny i wiele załóg nie mogło w pełni wykonać założonych zadań.

Decydujące znaczenie dla osiągnięcia sukcesu także i w tym roku będzie mieć — obok wzmoczonego oddziaływania czynników techniczno-organizacyjnych — jeszcze bardziej intensywne i skuteczne prace ideowo-wychowawcze wśród załóg. Działalność ta jest niezwykle wszechstronna, trudno nawet zakreślić jej ramy. Osiągnięcia są może mniej wymierne od działań odmiennego typu, ale ich znaczenie będzie decydujące o ostatecznych wynikach bieżącego roku i lat następnych. Wiadomo przecież, jak wiele zależy od odpowied-

niego ukształtowania świadomości społecznej, wyzwalania inicjatyw, podnoszenia poczucia odpowiedzialności za sprawę zakładu i kraju, pobudzania wysokiej aktywności zawodowej i społecznej.

Ważnym aspektem pracy ideowo-wychowawczej było i jest tworzenie klimatu wysokiego uznania dla ludzi wyróżniających się, sumiennych, odpowiedzialnych. Zakłady pracy znajdują różne formy dania im satysfakcji, a na szczeblu wojewódzkim istnieje Honorowa Księga Przewodników Czynu Produkcyjnego na karty której wpisano w ub. roku ponad 100 zasłużonych pracowników. Ludzie dobrej roboty wyróżniani są również najwyższymi

wypowiedziach dyskusyjnymi, poświęcono doskonaleniu form pracy partyjnej w całościach grupujących ok. 73 tys. słuchaczy. Objętych szkoleniem wieczorowo-uniwersyteckiego Marksiizmu-Leninizmu i jego 30 filii jest ponad 2300 słuchaczy. Są to liczby wymowne i świadczą o skali zamierzenia. Niemniej, zwłaszcza w odniesieniu do szkolenia partyjnego w zakładach pracy, zwracano uwagę na jego zbyt formalne traktowanie. Poprawie musi ulec przede wszystkim poziom szkolenia i jego przydatność w rozwiązywaniu życiowych problemów. Trudności do pokonania mają głównie wykładowcy, lektorzy, seminarjści, a także agitatorzy w codziennej pracy.

W roku szkoleniowym 78/79 realizuje 13 programów szkolenia masowego ponad 2100 zespołów grupujących ok. 73 tys. słuchaczy. Objętych szkoleniem wieczorowo-uniwersyteckiego Marksiizmu-Leninizmu i jego 30 filii jest ponad 2300 słuchaczy. Są to liczby wymowne i świadczą o skali zamierzenia. Niemniej, zwłaszcza w odniesieniu do szkolenia partyjnego w zakładach pracy, zwracano uwagę na jego zbyt formalne traktowanie. Poprawie musi ulec przede wszystkim poziom szkolenia i jego przydatność w rozwiązywaniu życiowych problemów. Trudności do pokonania mają głównie wykładowcy, lektorzy, seminarjści, a także agitatorzy w codziennej pracy.

W roku szkoleniowym 78/79 realizuje 13 programów szkolenia masowego ponad 2100 zespołów grupujących ok. 73 tys. słuchaczy. Objętych szkoleniem wieczorowo-uniwersyteckiego Marksiizmu-Leninizmu i jego 30 filii jest ponad 2300 słuchaczy. Są to liczby wymowne i świadczą o skali zamierzenia. Niemniej, zwłaszcza w odniesieniu do szkolenia partyjnego w zakładach pracy, zwracano uwagę na jego zbyt formalne traktowanie. Poprawie musi ulec przede wszystkim poziom szkolenia i jego przydatność w rozwiązywaniu życiowych problemów. Trudności do pokonania mają głównie wykładowcy, lektorzy, seminarjści, a także agitatorzy w codziennej pracy.

Ministerstwie Kultury i Sztuki, plenum zwołało go z funkcji sekretarza KL PZPR w imieniu KL PZPR i aktywny B. Koperski serdecznie podziękował Z. Falińskiemu za wieloletni wkład pracy, ofiarność i zaangażowanie, życząc satysfakcji i sukcesów na nowym, odpowiedzialnym stanowisku dyrektora Departamentu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą. Plenum KL PZPR powierzyło funkcję sekretarza KL — Jerzemu Grabowskiemu, który obejmuje pion nauki i oświaty. W ramach nowego podziału pracy w Sekretariacie KL, sekretarz KL PZPR — Genowefa Adamczewska objęła pion propagandy i kultury

PRACA IDEOWO WYCHOWAWCZA W ZAKŁADACH PRZEMYSŁOWYCH

odznaczeniem województwa — Honorowa Odznaka M. Łodzi, popularyzowani w środkach masowego przekazu. Ostatnio z inicjatyw instancji partyjnej, Prezydium RN m. Łodzi przyznało w trybie przyspieszonym przydziały mieszkań 120 przewodnikom pracy. Szacunek dla najlepszych i zasłużonych wyróżnienia muszą być jednak w parze z wyrazami dezaprobaty dla tych, którzy lekceważą własne obowiązki i pomniejszają dorobek innych.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Rośnie bowiem stopień komplikacji i złożoność prezentowanych problemów politycznych, społecznych, gospodarczych, które zawsze towarzyszą postępowi. Na marginesie tej sprawy warto podkreślić rzecz wcale niebagatelną. Przeglądając zestawienia „pomocy naukowych” jakimi obecnie dysponują szkolnicy trzeba stwierdzić, że dokonany został w tym zakresie ogromny postęp. Dotyczy to zarówno wydawnictw, a więc całej serii podręczników, informatorów, planów, a także filmów krótkometrażowych i do-

Adw. Roman Z. Hrabar z Katowic, autor publikacji „Jakim prawem”, „Na rozkaz i bez rozkazu” i nagrodzonej na dorocznym konkursie tygodnika „Polityka” w 1961 r. publikacji „Hitlerowski rabunek dzieci polskich” konstatuje, że adwokat będący z natury swego zawodu w nieustannym kontakcie z ogromem dramatów, okrucieństw i nieczystości, a z drugiej strony obserwując liczne przykłady ofiarności i szlachetnych porwy, posiada nieprzebrane bogactwo informacji z codziennego życia. To bogactwo może stać się bezcennym materiałem powiesiowym dla uważnego obserwatora, który będzie starał się opowiedzieć i przekazać przeżyte doświadczenia.

I nie dziwiło mnie, gdy okazało się, że na przykład adw. Leszek Stugocki z Łodzi na marginesie swojej praktyki adwokackiej zajmuje się badaniami historyczno-literackimi. Wróćmy do sprawy zasadniczej tzn. do pytania, czy adwokat ze średnią praktyką w swoim zawodzie zdolny będzie udźwignąć dodatkowy ciężar, jakim jest praca pisarska? Nie mamy w Polsce za wiele przekonujących przykładów, na których mogli byśmy przeprowadzić dowód na tak lub nie. Szukajmy więc za granicą. Wybrałem za wzór pisarkę dużej klasy, Nathalie Sarraute, adwokatkę paryską, znaną w Polsce z dwóch tłumaczonej powieści: „Portret nieznanego” i „Słysz pan te śmiechy”. Nathalie Sarraute drukowała również w „Twórczości” swoją esej „Era podejrzliwość” (Twórczość nr 5 rok 1959). Ponadto były wystawiane w Polsce jej dwie sztuki teatralne.

PALESTRA I PIÓRO

W dniach 17 i 18 lutego br. odbył się w Łodzi z inicjatywy adw. Witolda Bayera, kierownika Ośrodka Badań i Ciekawości, pierwszy ogólnopolski zjazd adwokatów-pisarzy. Otwierając obrady adw. Alfred Dresner, przewodniczący komitetu organizacyjnego, wyraził pogląd, że celem zjazdu powinna być prezentacja twórczości literackiej z okresu minionego, jak i twórczości aktualnej, współczesnej, ocalenie od zapomnienia dorobku i wkładu pisarzy-adwokatów w kształtowanie kultury narodowej.

Ważnym aspektem pracy ideowo-wychowawczej było i jest tworzenie klimatu wysokiego uznania dla ludzi wyróżniających się, sumiennych, odpowiedzialnych. Zakłady pracy znajdują różne formy dania im satysfakcji, a na szczeblu wojewódzkim istnieje Honorowa Księga Przewodników Czynu Produkcyjnego na karty której wpisano w ub. roku ponad 100 zasłużonych pracowników. Ludzie dobrej roboty wyróżniani są również najwyższymi

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

18 marca rozpoczyna się w Łodzi kolejny, doroczny przegląd kina światowego. Nie wszyscy czekali na tegoroczne „Konfrontacje” z optymizmem. Trzeba przyznać, że postawa taka była w pewnej mierze uzasadniona. Nie wszystkich satysfakcjonował dobór filmów poprzednio. Słyszało się nostalgiczne westchnienia: „dawniej to się widywało filmy”. Owszem, widywało się, ale dobrze pamiętam, że od pierwszej imprezy tego typu, noszącej wtedy jeszcze nazwę „Festiwal Festiwal Filmowych”, niezadowolonych było sporo. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Niezadowolone to spowodował dobór filmów, i to dobrych filmów. A więc jest to niezadowolone pozytywne, chciałoby się rzecz twórce, świadczy o tym, że mamy wyrobioną publiczność, znającą się na filmach i wiedzącą, czego chce. Widzowie nie są niezadowoleni, że obejrżeli filmy znajdujące się w programie, ale że było ich za mało. Dlatego nawet najwięksi malkontenci tłoczą się co roku w kolejkach po karnety. „Konfrontacje” stały

KONFRONTACJE 78

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

Ważną rolę w systemie wychowawczym spełniają zakładowe ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Jest ich obecnie na terenie województwa 86, z których 59 dysponuje dobrze wyposażonymi gabinetami metodycznymi i salami wykładowymi z odpowiednim sprzętem. Wiele uwagi poświęcono sprawom szkolenia partyjnego.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWA (redaktor techniczny), CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, SZCZEPANIK, IANUSZ SZYMANIKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, WICZ, EWA PANKIEWICZ, KRYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ

J.W.

B.P.

Ludzie z zasp

Dalszy ciąg ze str. 1

dów. Pracownicy Zakładów Mleczarskich wyszli po nich na szosę, zaparkowali się 52 kierowcami. Zapewniono im w zakładowej świetlicy maty, koce, bezinteresownie dano gorące mleko, masło, ser. Cmiu wzięli do swych domów poszczególne pracownicy, dyrektor W. Jasiński wypłacił z własnej kieszki 1.500 zł zaliczek dla kierowców, którzy nie mieli pieniędzy na paliwo i żywie.

Materiałną pomocą służył też kierowcom naczelnik miasta i gminy, Mieczysław Foczański, wypłacając z gminnej kasy kilkanaście tysięcy złotych tym, którzy otrzymali za wyrażenie zgody swoich zakładów na wypłacenie im zaliczek. W niektórych przypadkach, wobec niemożności uzyskania połączeń, wypłacono im na podstawie dowodu osobistego i delegacji służbowych — zawiadamiając dopiero nazajutrz zakład pracy o wypłaceniu zaliczek. Przez cały okres „stanu obłędności” Urząd Miasta i Gminy udostępnił

kierowcom telex. Decyzją naczelnika przedłużono także godziny urzędowania poczty — do 22. Również w sobotę i niedzielę.

SOBOTA Po południu nieprzejezdna jest już E-8. 67 uczniów wracających z zimowiska, którzy już od czwartku przymusowo stacjonują w tutejszej szkole, udało się przenieść do internatu w Kutnie, stwarzając im tam lepsze warunki, zwalnając tu miejsca dla kierowców najjeżdżających od strony Poznania. Niestety, nikt nie potrafił ich ostrzec przed zatłoczonymi do granic możliwości Krośniewicami, skąd już w żadnym kierunku nie było teraz wyjazdu.

Sztab raz jeszcze czyni rozpacliwe wysiłki, by ściągnąć uwiecznione w zaspach samochody. Około 100 osób z łopatami, lekkimi sprzętami, jeden plug wirnikowy — niestety też utknął w zaspie i popsuł się. Praca łopatami okazuje się szczyfową. Ostry wiatr natychmiast niweczy ludzką pracę. Nie powtórzył się już poprzedni dzień, kiedy udało się uwolnić około 100 samochodów.

Szkola Podstawowa nr 2. Punkt noclegowy. Dyrektor oddał kierowcom całe piętro. W salach 25 łóżek, koldry, maty z sali gimnastycznej, zsunięte stoliki, ławki. Niestety, dla niektórych pozostają już tylko krzesła, podłoga. 70 osób znalazło tutaj schronienie. Między nimi matka z 8-miesięcznym dzieckiem. Wracali małym fiatem. Utknęli 8 km stąd. Całą noc przesiedzieli z dzieckiem w samochodach. Tak: w samochodach. Gdy u nich skończyła się już benzyna, chodzili od samochodu do samochodu, aby w kolejnych wozach „pa chodzie” ogrzać dziecko. Ktoś tam dał trochę ciepłej herbaty z termosu, potem matka z tym dzieckiem kawalek pieśzo, kawalek w uwalnionym samochodzie z blizszej kolejki, dotarła do Krośniewic. Ulokowano ją tutaj, wzruszona opowiada mi o nadzwyczajnej serdeczności dyrektora szkoły, Z. Kurczewskiego. Wszyscy mają tu zapewnione mleko, zupy, możliwość korzystania z kuchni, ciepłej wody. Roz-

mawiam z kierowcami — nie mają słów uznania dla dyrektora za życzliwość, pomoc. Halina Korzelska z 2,5-letnią Dorotką, kierowcy — Szpakiewicz, Cieślak — zdziwieni byli, gdy przybyli tutaj zmarznięci, bez nadziei, a czekali na nich już łózka.

— Nic nadzwyczajnego — uśmiecha się dyrektor. — Mieliliśmy tutaj sezonowe schronisko przy szkole. Stąd są te łózka. Zresztą byliśmy przygotowani — to było do przewidzenia. Godzina wystarczyła, by wystąpić z pełną gotowością. Organizujemy teraz herbatę, pieczywo, z mleczarni staramy się przetrześć trochę prowiantu, potem będziemy się martwić z jakich to pokryć funduszy. Częściowo pewnie szkoła, Urząd Miasta trochę pomoże...

6 osób nocuje na dywanie u listonosza, autor niniejszego w aptece, w gościnnych progach p. Dunin-Borkowskiego, pracownik ambasady w Berlinie, u kogoś z Urzędu Gminy, inni u dobrych ludzi z Krośniewic, po wiejskich chałupach. N-kt nie odmawia gościnny. Także w kawiarni na dywanie śpi grupa osób. Zaopatrzenie dobre, o drugiej w nocy odwiedzą sklep spożywczy — pełno świeżego chleba, konserwy, mleko.

Jedną z unieruchomionych ciężarówek, jadącą w stronę Gdańska, załadowana jest konserwami mięsnymi, rybnymi i innymi gotowymi artykułami spożywczymi. Nie zanosi się na rychły jej odjazd. Naczelnik miasta natychmiast porozumiewa się telefonicznie z odbiorcą, otrzymuje zgodę i zawartość ciężarówki wędruje do miejscowej Gminnej Spółdzielni. Podobnie udało się naczelnikowi uzyskać zgodę na rozładowanie dwóch samochodów z węglem dla tutejszej mleczarni i piekarni, pracujących już na resztkach węglowych zapasów. (Jeden z samochodów rozładowano pierwszego dnia, następny — po trzydziśniedniowych pertraktacjach z odbiorcą).

W szczególnie trudnej sytuacji znajduje się Zakład Mleczarski w Krośniewicach. W 17 zbiorczych (na

tych punktów jest 44) punktach skupu mleka czeka na odbiór tysiące litrów. Nie wolno dopuścić do zmarznięcia żadnego litra.

Nie ma mowy, by samochody mleczarni mogły tam dotrzeć. Pracownicy punktów i sołtysi organizują zbiorowe dostawy. Na przelaj sianami przez pola, przez zasy — jedni drugich wyciągają z tych zasp. Na podwórzu mleczarni konie mokre od potu, zmordowani rolnicy, ale jest mleko; pieczolowicie, aby nie nie uронić, wędruje do kaźi, ale ta ilość mleka zaspokaja wyłącznie potrzeby rynkowe na mleko spożywcze i masło. Od 16 lutego zakłady musiały wyłączyć produkcję mleka w proszku. Zastępca dyrektora, W. Gmerek, zapisuje tych ofiarnych ludzi. Naczelnik miasta, Komitet PZPR, dyrekcja Zakładów Mleczarskich chcą usatysfakcjonować społeczną postawę tych rolników, wyróżnić ich.

NIEDZIELA Stoje na podwórzu mleczarni, przyglądam się tym wysiłkom — oto dyrektor zakładów, W. Jasiński, osobiście wybiera się „Starem” przez pola do PGR po mleko. Udało się: przewozi 4.200 litrów, ale drugi raz samochodem już się tam nie wybiorą, szkoda wozu, trzeba inaczej zorganizować transport.

Po południu, krańcowo wyczerpani, dotarli pieszo do Zalesia do szkoły Henryk Kwaśniewski (lat 25) — kierowca z Włocławka. Nie był w stanie wydobyc z siebie ni słowa. Od czwartku do niedzieli stał z cennym ładunkiem, nie chcąc pozostać go bez opieki, w okolicach Daszyny, na międzynarodowej trasie E-16. Gdy Urząd Miasta i Komitet PZPR otrzymali o tym wiadomość, natychmiast zorganizowano ratunek Saniami dowieziono chorego do Zakładów Mleczarskich (najdalszy punkt dokąd można samochodem dojechać z Krośniewic), tam oczekiwał go już w milicyjnym samochodzie lekarz. Po udzieleniu pierwszej pomocy odwieziono go natychmiast tymże samochodem do szpitala w Kutnie. Orzeczenie lekarza: krańcowe wyczerpanie fizyczne.

PONIEDZIAŁEK

Ładna, słoneczna pogoda. W mieście już luźniej — w niedzielę wieczorem czyszczono drogę w kierunku Warszawy i jadące w tamtą stronę samochody opuściły Krośniewice. Obrabujący w nocy sztab postanowił, korzystając z poprawiającej się z godziny na godzinę pogody, rozpocząć znowu atak na szosę w kierunku Włocławka. 150 osób z łopatami, ciągniki z plugiem, zreperowany w międzyczasie stojący tam plug wirnikowy, ludność ze wszystkich sołectw, przystępują do prób uwalniania setek grzęznących w zaspach samochodów, niektórych zasypanych po dach. Za lekkim sprzętem idzie samochód z benzyną dla unieruchomionych wozów, drugi — po wyładowane na mrozie akumulatory. Będzie się je dowozić do pobliskiego PGR, ładować na agregacie szybkiego ładowania, podwozić z powrotem do aut na szosie. Akcja trwać będzie na trzy zmiany, bez przerwy przez całą dobę. Dowozić się też będzie bezpłatnie posiłki regeneracyjne dla kierowców.

Podsumowując te pobieżne, czynione na gorąco spostrzeżenia z trasy, chciałbym zwrócić uwagę na ogromną operatywność władz miasta Krośniewice, pełną serdeczność zaangażowania postawę naczelnika, sekretarzy PZPR, którzy dzień i noc trwali prawie bez przerwy na posterunku, całego sztabu. Chciałbym jeszcze wymienić nazwiska J. Bajerńskiego, H. Woźniaka, W. Jasińskiego, Z. Matraszka, J. Króla, M. Tomczaka, Z. Kurczewskiego, którzy samorządnie, z całym poświęceniem i ogromną efektywnością pomagali nieszczęśliwym kierowcom. W imieniu wszystkich ludzi z zasp i swoim własnym dziękuję władzom miasta, sztabowi i wszystkim mieszkańcom Krośniewic, którzy w chwili klęski przyszli ludzom z tak daleko idącą pomocą.

HENRYK CZARNECKI

OBYCZAJE

Dzisiaj ludzie pobierają się najczęściej po prostu dlatego, że się kochają. Okazuje się jednak, że sama miłość i stwierdzenie „kocham go, więc biorę ślub” nie stanowią jeszcze gwarancji szczęśliwego i trwałego małżeństwa. Braku wiedzy o życiu emocjonalnym człowieka (a szczególnie wybranego partnera) nie zastąpią dobre chęci i gloryfikacja potęgi miłości. W życiu małżeńskim, podobnie jak w każdej innej dziedzinie, aby osiągnąć sukces potrzeba wiedzy, a nawet, używając sportowej terminologii: treningu. Do tego celu najlepszym czasem jest okres przedmałżeński, „chodzenie ze sobą”, poznanie, sympatia i narzeczeństwo. Właśnie wtedy, gdy nas „ogarnia” miłość, nie należy jej bezkrytycznie akceptować, ale nie umniejszając uroków i bez troski uczucia, sprawdzić głębię i trwałość poprzez dokładne poznanie partnera. Można wtedy uniknąć „złamania serca” i zawiedzionych nadziei oraz tragicznych często w skutkach pomyłek, wzięcia przelotnego flirtu za miłość swojego życia.

Jak więc poznać prawdziwe, wielkie uczucie i jak zdobyć pewność, że naprawdę kochamy i jesteśmy kochani?

Z. CELMER w książce „Gdy miłość przychodzi” tak odpowiada na to pytanie:

„Trudno dać tu jakąkolwiek receptę albo polecać termometr do mierzenia temperatury uczuć. Bo chociaż ścieżki uczuć są wydeptane przez zakochanych od tysięcy lat, każda para odkrywa miłość dla siebie na nowo, tworzy od początku swój intymny język, przeżywa z całą ostrożnością każde drgnienie serca i poprzez wiążące ich uczucie widzi cały świat po prostu inaczej. Niepokój, nagła radość, wzruszenie na widok kochanej twarzy — to nieomyślne oznaki miłości. Ale miłość może być dobra lub zła — może mobilizować, czynić najtrudniejsze rzeczy łatwymi, uskrzydlać fantazję, wyzwałać w naturze ludzkiej to, co najlepsze, i może także zasklepić w nieczystym światku obojętności na losy innych, jałowej intymności, zamykać ukochanego w ciasnej klatce zazdrośnej zaborczości, wyzwałać najniższe instynkty, kłaść się ponurym cieniem na życie drugiego człowieka. Wszystko zależy od tego, jak przygotowaliśmy się do tej wielkiej sprawy w naszym dotychczasowym życiu, a więc jaki przeszliśmy trening uczucia”.

Aby nie włączyć się dalej w miłosną tarapatkę, wystarczy stwierdzić, że każdy człowiek, jako „stworzenie towarzyskie” odczuwa w mniejszym lub większym stopniu pragnienie więzi z innymi ludźmi, co w psychologii nazywamy popędem do więzi uczuciowej. Dobrze jest, kiedy w codziennych kontaktach z ludźmi, już od małego dziecka, zdobywamy doświadczenia w nawiązywaniu właściwych, koleżeńskich stosunków, umiejętności nie tylko brania w przyjaźni, ale także dawania, dostrzegania wierności złożonym przyrzeczeniom, uczymy się delikatności i wyrozumiałości, uczuwania się w cudze przeżycia i stany uczuciowe itp. To zebrane w edukacji życiowej doświadczenie, umiejętność oddania się partnerowi, troska o jego szczęście i dobro w rozwijającym się uczuciu miłości, świadczą między innymi o dojrzałości emocjonalnej, która stanowi przesłankę do szczęścia i trwałości przyszłego małżeństwa.

W okresie przedmałżeńskim, który jest czasem marzeń, nadziei i oczekiwań dwojga ludzi,

warto również zwrócić uwagę na częste mitologizowanie i przecenianie możliwości miłości, lub mówiąc prosto, warto domieścić do miłosnego zaurzeczania szczytą rozsądku. Jest to bowiem wspaniały i nieprzypadkowy okres w życiu człowieka, w którym wydaje się, że miłość przewycięży wszelkie przeszkody i łączy się z zasadzie, że „wszystko się dobrze ułoży, bo się kochamy”. Najczęściej taka tajemnicza siła miłości pozostaje jednak na kartach przedwojennych romansów, a w życiu pokutuje ostatni

głębokie przywiązanie, pełne zrozumienia dla partnera, zdolności do wyrzeczeń, do kompromisów itp. Myślę, że o tej prawdzie warto pamiętać, jak również i o fakcie, że chociaż miłość jest podstawą szczęścia małżeńskiego, to nie jest uczuciem, które może istnieć w niezmienionej formie, bo zmienia ona swoje barwy w miarę upływu wspólnie przeżytych lat. Małżeństwa zawierane tylko z „wielkiej miłości” patrzącej przez różowe okulary, szybko się rozpadają. Dlaczego? Najczęściej dlatego, że

się dobrane właściwego krawata czy twarzonej sukienki. Teraz trzeba pewnych wyrzeczeń i poświęceń w tworzeniu nowego, wspólnego świata, jego budowania i urządzania.

LEW STAROWICZ, lekarz zajmujący się problemami małżeństwa, pisze o roli okresu przedmałżeńskiego:

„Wiele badań poświęconych przystosowaniu małżeństwu wskazuje, że właśnie okres przedmałżeński decyduje o przyszłych losach związku, ale polega to głównie nie tyle na samej sile uczuć czy więzi erotycznej, co na więzi charakterologicznej, środowiskowej, intelektualnej. Czyli: im więcej sfer łączy, tym większe szanse na przyszłość. Decyduje też pewna podstawowa orientacja życiowa: altruistyczna lub egocentryczna. Ta druga sprzyja powstawaniu konfliktów. Ciekawe, że takie cechy jak: dobroć, tolerancja, ciepło wobec ludzi, pozytywny świat wartości, które przecież stanowią bardzo sprzyjające szczęściu małżeństwu predyspozycje, stosunkowo rzadko są wymieniane w listach cech idealnego partnera życiowego. Szkoda, że te cechy są doceniane po nieowocnie”.

Mądrzy „doradcy małżeńscy” mawiają (taka profesja również istnieje), że okres małżeński stanowi nową jakość życia we dwoje, w którym następuje zmiana dotychczasowych priorytetów „narzeczeńskich”. Nadal ważna jest miłość i umiejętność pielęgnacji uczuć, przystosowanie seksualne, ale dochodzą do głosu potrzeby ustalenia rozkładu dnia i obowiązków, urządzania się, tworzenia „małżeńskiego gniazda”. Najtrudniejszą chyba rzeczą w małżeństwie jest zrozumienie właśnie tej elementarnej prawdy, że z chwilą zmiany stanu cywilnego następuje radykalna zmiana całego dotychczasowego życia dwojga ludzi. Jeżeli dotąd myśleli o swoich sprawach w kategoriach „ja pójdę”, „ja muszę” czy „ja chcę” — to teraz muszą przestawić się na myślenie: „my pójdziemy”, „my musimy”, „my chcemy” i oczywiście zastanowić się czy to „my” zgodne jest z rzeczywistością. Należy po prostu uwzględnić w swoim myśleniu, postępowaniu i planach — potrzeby i oczekiwania drugiej osoby. Nie wolno ich lekceważyć ani bagatelizować.

Aby to wszystko właściwie robić, aby być mądrym przewodnikiem we własnym małżeństwie (bo nawet w małżeństwie partnerskim zawsze jedna ze stron nieznacznie dominuje), potrzebna jest rzetelna wiedza o tajnikach małżeńskich i skomplikowanym świecie ludzkich uczuć. Stąd też w wielu krajach, a także i w naszym, postulują się i rozwija nauki przedmałżeńskie i przygotowanie do życia w rodzinie. W Anglii, już w końcu lat trzydziestych, powstała profesja „małżeńskiego doradcy” służącego małżeństwu pomocą i radą.

Także u nas, coraz szerzej rozwija się sieć poradnictwa przedmałżeńskiego i rodzinnego, inspirowanego przez Towarzystwo Planowania Rodziny i społeczną służbę zdrowia. Poradnie te odwiedza stale wzrastająca liczba kobiet i mężczyzn, którzy w początkach swojego małżeństwa dostali może „dwójkę z miłości”, którzy nie zdążyli w odpowiednim czasie (w szkole czy w domu) przygotować się właściwie do życia, a teraz pragną uratować swoje małżeństwa i tak piękną przecież kiedyś ich miłość.

dwójka
z
miłości?

Jerzy Witczak

odcinek serialu „Daleko od szosy”, w którym młode małżeństwo pozostało w dniu ślubu bez dachu nad głową. Nie należy przeceniać optymizmu miłości, gdyż nie jesteśmy w stanie przewidzieć niespodzianek, jakie nam na przykład niosą — wspólne życie z teściami czy obowiązki wynikające z narodzenia dziecka. Te nowe zadania i obowiązki mogą się okazać cięższe i silniejsze od optymizmu miłości.

Małżeństwo tylko wtedy ma szansę przetrwania wszystkich burz, które gotuje mu życie, gdy pierwsza gorąca miłość, doprowadzająca młodych do ołtarza, zmienia się z czasem w

młodzi, zapatrzeni w swoje uczucie, nie zdążyli popatrzeć na siebie uważnie. Widzieli siebie tylko pozornie prawdziwymi — takimi, jakimi chcieli się pokazać w oczach ukochanej osoby i jaką ją chcieli widzieć. Dopiero codzienne życie odsłoniło im ich prawdziwe twarze i okazało się, że pomimo niewątpliwego uczucia coś zaczęło się psuć, a wspólne życie pod jednym dachem stało się szybko prawdziwą udręką. Okazało się również, że małżeństwo, to już nie przedmałżeński czas przyjemnego bywania ze sobą, kiedy nie było jeszcze żadnych obowiązków i największym zmartwieniem stawało

Dalszy ciąg ze str. 1

specjalistycznych skupia się niemal jedna trzecia wszystkich członków organizacji. I niemal każdy z nowo-wstępujących do ORMO może znaleźć wśród nich pole dla swego działania zgodne z indywidualnymi zainteresowaniami. Jednym z głównych działań władz ORMO na przyszłość jest staranie o to, by przyjmowani do tej organizacji byli ludzie o określonych zainteresowaniach, odpowiednich kwalifikacjach zawodowych i zamierzających w wybranej dziedzinie. Sprzyja to rozszerzeniu zawodowej reprezentacji w ORMO: tworzą ją dzisiaj nauczyciele, prawnicy, lekarze, psychologowie, robotnicy, rolnicy, działacze FJN, Ligii Kobiet, Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, aktywiści stowarzyszeń i związków, zwłaszcza zaś — organizacja młodzieżowych — ZSMP (ponad 12 procent członków ORMO w województwie łódzkim) i SZSP. Z tymi ostatnimi związana jest przede wszystkim przyszłość ORMO — pilnym i nieograniczonym w czasie zadaniem jest dalsze odmiadlanie szeregów organizacji.

Już teraz zresztą młodzi — ludzie poniżej „trzydziestki” — stanowią prawie 35 procent członków łódzkiej ORMO. Domeną młodych są właśnie specjalizacje. Najliczniejsze z nich przeznaczono są do spraw ruchu drogowego (ponad 2200 członków w 31 jednostkach). Za nimi idą zespoły do spraw dzieci i młodzieży, jednostki do spraw PKP, do spraw wodnych 38 jednostek działających w WML ma profil: przeciwpożarowy, medyczny, kryminalistyczny, konny, kolarski, ochrony środowiska, przeciwalkoholowy, profilaktyki społecznej. W jednej tylko dzielnicy — na samej Górnjej, w jednostkach specjalistycznych pracuje 930 ludzi, tj. więcej niż w jednostkach terenowych.

Ważnym momentem w dziejach specjalizacji ORMO była uchwała nr 11 Rady Narodowej w Łodzi (z marca 1978 roku) w sprawie ustalenia kompleksowego programu dalszej poprawy porządku publicznego, zwalczania alkoholizmu oraz zabezpieczenia przeciwpożarowego w latach 1978-80. W programie tym jednostkom specjalistycznym przypadły istotne zadania. Wzrosła ich samodzielność i różnorodność, choć rozwój poszczególnych specjalności jest nierówny i zależy od warunków. Na przykład na Górnjej znajdują się kilka dużych ośrodków sportu i rekreacji. Muszą to zatem być miejsca „pod specjalnym nadzorem”. Akwami wodnymi Górnjej: trzema Stawami Jana, Stawami Stefana i Stawami „Na Młynku” opiekują się właśnie ORMO-owcy z jednostek wodnych. Bodaj najlepszą z nich jest jednostka nr 39 z ul. Rudzkiej 108 — jednocześnie pierwsza jednostka ORMO w tej dzielnicy.

GÓRNA NIE POJAWIŁA SIĘ TU PRZYPADKIEM

— wszak to właśnie ta dzielnica posiada największą liczebnie organizację ORMO: liczy ona 2,8 tys. członków. W 2 milionach 140 tysiącach godzin, przepracowanych społecznie w 1978 roku, ORMO-owcy z Górnjej mają udział największy — po Widzewie.

Ale w czasie wizyty na Górnjej zauważyłem, że największe sukcesy odnoszą najmniej liczebne jednostki. Tylko 26 ludzi skupia na przykład jednostka ORMO przy fabryce dywanów „DYWILAN”. To dokładnie — jedna setna część załogi! Ale — jak widać — liczba to wystarczająca, by po raz siódmy w 20-letniej historii tej jednostki przodować wśród ponad 200 jednostek tego typu w naszym województwie.

Zamiast wyliznąć tego, co robią i robić powinny zakładowe posterunki ORMO, podam kilka wymownych chyba faktów.

W 1978 roku członkowie ORMO ujawnili i zatrzymali na gorącym uczynku:

— W ZPB im. Dzierżyńskiego sprawców kradzieży tkaniny wartości 38 tys. złotych,

— w „Polmatexie-Wifamie” 15-osobową grupę przestępczą, która zagarnęła mienie wartości 40 tysięcy złotych oraz sprawców kradzieży silników elektrycznych,

— w ŁUSP „Uroda i Zdrowie” ORMO-owcy zlikwidowali grupę przestępców, która zawiadnęła mieniem o wartości 100 tysięcy złotych; na dworcu Łódź-Kaliska członkowie ORMO ujawnili 31 przypadków nie wykazanych w rejestrach nadwyżek przewiezionych towarów ogólnej wartości ponad 600 tysięcy złotych...

A w „Dywilanie”? Mówi komendant Józef Andrzejewski, „w cywilu” kierownik działu zaopatrzenia i transportu:

— Jak każdy zakład, tak i nasz ma na swym terytorium słabe punkty: rejony magazynów, ogrodzeń, zaułki, śmietniki, korytarze. Te miejsca najchętniej wykorzystują kombinatory i złodzieje. Dwóch ludzi złapałszy na gorącym uczynku w trakcie wywożenia dywanu ze skrytki w korytarzu. Prawdopodobnie za-

mierzali przerzucić lup przez parkan. Ktoś inny owinął się dywanikiem, kontroli ORMO wydał się jednak zbyt grubym... Przędzę próbowano ukryć w śmietniku i wywieźć poza zakład przy pomocy ekipy MPO. Ludzie próbują, choć wiedzą przecież, co im za to grozi: a grozi nie tylko kara, lecz i perspektywa opuszczenia pracy...

Sukcesu by nie było — podkreśla J. Andrzejewski — gdyby nie poparcie załogi. Poparcie czynne i nie tylko ze strony członków partii, poparcie płynące ze wspólnej troski o nasze mienie, z wrażliwości na zło (choć margines niezadowolonych z tego — jak wszędzie — istnieje i tu). Na zalodzie „Dywilanu” nie zawiedli się ORMO-owcy. Podobnie jak na dyrekcji Zakładu (zresztą dyrektor naczelny inż. Adam Kunka, jest komendantem Dzielnicy Sztapu ORMO). W nielicznym, ale zgranym kolektywie jednostki są przedstawiciele wszystkich wydziałów: produkcji i administracji, każdy więc pilnuje w swoim rejonie, wkładając wiele poświęcenia w walkę z bumelanctwem, marnotrawstwem i niegospodarnością. Tadeusz Kazimierzczak, Stanisław Rogala, Antoni Błaszczak, Marian Pokora, Wacław Biekonis, Mirosław Bączek, Bolesław Moczowski — to

pracy iść na ulicę, albo do zakładu i nie każdego stać na takie poświęcenie — mówi Józef Andrzejewski.

JEDNOSTKA TERENOWA NUMER 40

— ma — ku mojemu kolejnemu zaskoczeniu — zaledwie trzynastu członków. I pierwsze miejsce w swym pionie w całej aglomeracji łódzkiej — wśród 150 jednostek! Zaskoczenie moje jest tym większe że — co daje się bez trudu zauważyć — średnia wieku jest tu dość wysoka i tylko jeden członek, liczący 21 lat, stanowi wyjątek od tej reguły. A jednak tym przeciwieństwem ludzom nie brakuje energii, własnymi siłami na przykład wyremontowali dla swojej organizacji trzy pomieszczenia w oficynie przy Zarzewskiej 17.

Mówiąc ich słowami: teren przypadł im „paskudny”. Ale nie narzekają; fakt ten raczej działał mobilizująco, 97 procent tego rejonu Górnjej, to stare budownictwo. Wiele tu ciemnych podwórek, zaułków, podej-

ściół i rozjemców. Często więc służy ORMO-owcy radą, pomocą, wskazują drogę załatwienia sprawy. Jak trudne bywają te sytuacje — opowiadał mi członek Jednostki Terenowej nr 40 komendant Stanisław Ksionek, jego zastępca — Józef Plazik, przewodniczący Społecznej Komisji Pojednawczej Stanisław Białosiński i inni.

Szczególną troską otaczają ci społeczniczy sprawy młodzieży i dzieci. Jednostka współpracuje ze szkołą podstawową nr 10, obejmuje kontrolę 37 rodzin, 40 dzieci w dużym stopniu zagrożonych moralnie i zaniedbanych. Wiele spraw, jakie się tu wyłaniają, jest na pozór drobnych, codziennych. Oto matka, która uchyla się od pracy i jej dziecko, które opuszcza lekcje, bo nie ma w czym pójść do szkoły... Po interwencji ORMO-owców szkoła zdobywa buty dla dziecka, a matka wraca do pracy. Takich spraw są dziesiątki, ale o małych przyjacielach nie zapomina się i potem: dowodem coroczne „gwiazdki” organizowane dla nuboższych dzieci przez Jednostkę ORMO wespół z Komitetem Osiedlowym nr 1 „Górniak” i Terenową Organizacją Partyjną.

Wdzięczność dzieci ujawnia się często bardzo niespodziewanie gdy stają się już młodzieżą. Wielu zdobywa

cińska ze Śródmieścia oraz Elżbietą Gregorowicz z Górnjej.

Elżbieta Gregorowicz, nauczycielka, trafiła do ORMO przed dziesięcioma laty — jak sama przyznaje — trochę z przypadku. W szkole, w której znalazła się po piotrkowskim Studium Nauczycielskim, wakowała funkcja ORMO-wca. Przypadła więc ona młodej nauczycielce i — jak się okazało — była jej przydatna. I jest tak do dzisiaj, choć przez te lata przybyło rozmaitych zajęć i funkcji: pedagoga szkolnego, i sekretarza POP przy szkole podstawowej nr 147 na Nowym Rokicciu, studentki na kierunku zoologii polskiej w UL, a także — czy może przede wszystkim — żony i matki.

Właściwie, kiedy przed rokiem rozpoczęłam studia — mówi p. Elżbieta — powinnam była z czegoś zrezygnować. Ale... nie zrezygnowałam z niczego — dodaje z uśmiechem.

W krótkim czasie okazało się, że praca społeczna w ORMO okazała się pomocną w rozwiązywaniu kłopotów wychowawczych, z jakimi na co dzień styka się młody nauczyciel. Funkcja kierownika Poradni Społeczno-Wychowawczej, a wkrótce potem — kierownika Zespołu do Spraw Dzieci i Młodzieży ORMO — w połączeniu z kontaktami pedagoga szkolnego w macierzystej placówce, pozwoliła szerzej spojrzeć na problem wychowawczy, sprawiła też, że pomoc mogła być łatwiejsza, szybsza i bardziej konkretna.

Przewodny przez Elżbietę Gregorowicz zespół ma najwyższe oceny. W jego skład wchodzi również wspomniana poradnia — obecnie pod kierownictwem młodego pedagoga — Piotra Rybińskiego. Poradnia jest jedną z czterech sekcji w zespole, obok najliczniejszej — prewencyjnej, której zadaniem jest stała kontrola miejsc publicznych, w których gromadzą się dzieci i młodzież Sekcji do Badań Sytuacji Środowiskowej, zajmującej się wywiadami w rodzinach nieletnich oraz Sekcji Kuratorów Społecznych, służącej indywidualną opieką tym dzieciom, którym jest ona najbardziej potrzebna.

Tu warto dodać, że te formy interesowania się życiem dzieci oraz młodzieży nie są jedynymi; akcje opiekuńcze wychodzą również ze strony innych jednostek ORMO: terenowych i specjalistycznych. Na przykład społeczni inspektorzy ruchu drogowego objeli w zeszłym roku stałą opieką 226 szkół, prowadzą zajęcia w miasteczkach ruchu, wygłosili ponad tysiąc pogadanek i wykładów w szkołach, a oprócz tego przeprowadzili wiele egzaminów z znajomości zasad ruchu i wydali 4 tysiące kart rowerowych. Wśród najważniejszych zadań ORMO na Górnjej znajdują się natomiast objęcie opieką miejsce zabaw dzieci i młodzieży, zarówno latem, jak i zimą.

Również kolejne plany Zespołu do Spraw Dzieci i Młodzieży na Górnjej — na 1979 rok — są bardzo ambitne. Być może uda się powiększyć jednostkę pedagogiczną o blisko 100 osób, najlepiej nauczycieli. Czy to się uda? Elżbieta Gregorowicz jest optymistką.

Ludzie coraz bardziej żywiłowo reagują na przejawy zła w zachowaniu dzieci we własnym środowisku — twierdzi. — Może mają czasem kłopoty z własnymi dziećmi? Sądzić by tak można również i dlatego, że przybywa w naszej jednostce osób nie związanych w swej pracy zawodowej bezpośrednio z dziećmi czy młodzieżą. Mimo to zwiększają stałe swoją wiedzę pedagogiczną, pracują nie ogładając się na normy, szybko podnoszą swe kwalifikacje.

Nie też dziwnego, że zaufanie, jakim obdarza się Zespół — rośnie. Coraz częściej rodzice sami zwracają się o pomoc, również i wtedy, gdy po okresie normalizacji życia rodzinnego powracają kłopoty. Także kontakty z dziećmi stają się coraz ściślej. Młodzież nie traci kontaktu z Poradnią Społeczno-Wychowawczą, zwłaszcza zaś wtedy, gdy po jakimś czasie zmieniają swą postawę i mają się czym pochwalić przed pedagogami — społecznikami... Dla najważniejszych przyjaciół — w Międzynarodowym Roku Dziecka — Zespół Elżbiety Gregorowicz zorganizuje szereg spotkań towarzyskich i imprez kulturalnych. Dzieci z rodzin nuboższych wesprze nie tylko pomocą pedagogiczną, ale i — materialną. W tej mierze społeczni funkcjonariusze ORMO liczą na współpracę ze swymi wypróbowanymi dorosłymi przyjaciółmi — organizacjami społecznymi. Wdziałem Oświaty, Wychowania i Kultury, Towarzystwem Przyjaciół Dzieci i Komitetem Osiedlowym.

Może i któraś z łódzkich placówek artystycznych, choćby teatrów lalkowych, wyjdzie naprzeciw społeczni- kom z Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej i ich podopiecznym, proponując im w czerwcowy, świąteczny dzień wizytę pod swoim dachem...?

TOMASZ SOLDENHOFF



Foto: W. Parus

najofiarniejsi z ofiarnych. No i sam Andrzejewski, w którego rekach zbiegają się nici wszystkich poczynań jednostki: ochrona mienia, kontrola ładu i porządku, przestrzeganie przepisów behapowskich i przeciwpożarowych. Z jego inicjatywy podniesiono normę godzin dla członków zakładowej ORMO. Z jego inicjatywy też — w dniu naszego spotkania — ORMO-owcy z „Dywilanu” i ich koledzy oddawali honorowo krew.

Bo ORMO, mimo swojego organizacyjnego statusu i określonego charakteru — nie ogranicza się w swych działaniach do terenu własnego podwórka. Społeczniczy z opaskami na ramieniu są wszędzie tam, gdzie mogą być przydatni. Fakt z pierwszych dni stycznia: 7 tysięcy łódzkich ORMO-owców chwyciło za łopaty, aby walczyć z wielkim śniegiem. Albo przykład inny, z dziedziny budownictwa mieszkaniowego. Ponad 3 tysiące godzin przepracowali w latach 1977-78 członkowie ORMO na budowach: Widzewa Wschodu, osiedlach Bugaj i Retkinia. Również społeczniczy z jednostki przy „Dywilanie” znani są poza swym zakładem. Biorą udział w patrolach i w akcjach „Porządek”, w których w samej tylko Górnjej zorganizowano w 1978 roku pięćdziesiąt. — Nieraz trzeba po godzinach

rzanych, słabo zaludnionych ruder. Ta część „Górniaka”, mimo upływu lat, oparła się wyburzeniom. W okolicy chętnie przebywa element przestępczy, w tych domach szukają kryjówek poszukiwani przez MO. W tym roku już kilkakrotnie udało się tujejszym ORMO-owcom zatrzymać i przekazać milicji przestępców ukrywających się przed „odsiadką”.

Wartuję książkę dyżurów. Większość spraw ma charakter interwencyjny. Czasem trudno sobie wyobrazić, co by było, gdyby nie te interwencje...

„15. 01. 1979 r. — „Stwierdzono, że rodzice nie pracują, mają skłonności do nadużywania alkoholu. Z mieszkania urządził melinę schadzek elementów milicyjnie podejrzanych. Codziennie urządzają libacje alkoholowe i są w stanie nietrzeźwym. W mieszkaniu panuje bałagan. Taki stan rzeczy demoralizuje nieletnie dzieci...”

„15. 01. 1979 r. — „Dokonano likwidacji meliny handlu wódką” — podobne raporty pojawiają się w książce częściej.

Ale poza patrolami na ulicach i w parkach, które czasem kończą się jedynie przypominaniem dozorcóm o ich powinnościach, poza wywiadami środowiskowymi w domach, kontrolami melin i knajp, interwencjami dla utrzymania porządku czy takimi akcjami społecznie użytecznymi, jak odśnieżanie ulic i oczyszczanie dachów ze śniegu i sopli, zdarzają się ORMO-woom z „Górniaka” sprawy

ciekawe zawody, uczy się lub pracuje i nawet po latach nie zapomina podziękować tym, którzy pomogli na początku samodzielności. Wiele takich przykładało się w sprawie 17 latci Jana Kacprzaka, który przez 17 lat był w tym rejonie dzielnicowym, przed pięcioma laty walczył przyczynił się do powstania jednostki ORMO, a dzisiaj jest jej jednym z filarów.

MIĘDZYKRAJOWY ROK DZIECKA

skłonił mnie do bliższego przyjrzenia się pracy ogniu powołanych w ramach Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej do zajmowania się nieletnimi.

Od inspektora do spraw nieletnich w Wydziale Prewencji Komendy Wojewódzkiej MO — kpt. Beaty Grodzickiej, dowiedziałem się, że przy wszystkich miejskich i wielu gminnych jednostkach MO działają zespoły ORMO do spraw dzieci i młodzieży. Ich członkami są przede wszystkim nauczyciele, psychologowie, prawnicy, lekarze, działacze młodzieżowi. W założeniu zespoły te miały zapobiegać demoralizacji i przestępczości nieletnich.

Życie potwierdza ogromną przydatność tych placówek, aczkolwiek efekty — choć dadzą się przedstawić także w liczbach — często są niewymieralne. Powiedzmy więc tylko, że w 1978 roku w województwie

łódzkim objęła ORMO swoim nadzorem i kuratelą około 1,1 tys. nieletnich, zaś patronat roztoczyła nad 219 szkołami.

Czy w efekcie tych działań liczba dzieci i młodzieży objętej opieką maleje? Okazuje się, że tak. Na ponad 150 tys. dzieci i młodzieży w wieku szkolnym — podlegającej obowiązkowi nauki — tylko ok. 700 zdradza nieprzystosowanie, stwarza poważne kłopoty wychowawcze. Ale jeszcze przed dziesięcioma laty trudno byłoby nazwać to zjawisko marginesem; wówczas aż 3 tysiące nieletnich znajdowało się pod nadzorem i kuratelą ORMO.

Działalność profilaktyczna daje więc widoczne rezultaty. Wielki, choć z reguły bezimienny wkład mają tu członkowie ORMO, którzy zresztą nie działają samotnie, pozostając w ścisłym kontakcie z instytucjami oświaty i wychowania, kuratoriami, placówkami sądownictwa i MO oraz Towarzystwem Przyjaciół Dzieci.

Wymieniłem niektórych, dla przykładu, społeczników, acz lista ta mogłaby być jeszcze dłuższa: Marie Surowiecka z Widzewa, Alleje Gozrowską z Balu, nauczycieli — Mariana Sakowskiego ze Zgierza i Wandę Krakutę z Pabianic, kierowników dzielnicowych zespołów do spraw dzieci i młodzieży: Bogumiła Dońca z Polesia, Wiolettę Dowgird-Sobo-

W POTRZEBIE

4 ODGŁOSY

General brygady, Leon Dubicki, podczas wojny w zimie 1945 r. był szefem sztabu artylerii 1 dywizji im. T. Kościuski w stopniu majora. Organizował on artyleryjskie wsparcie piechoty i czołgów i w wielu wypadkach bezpośrednio kierował ogniem artylerii. Był więc dobrze zorientowany w rozwoju sytuacji i przebiegu poszczególnych walk.

POŁACZY

Rano, 14 stycznia, wojska 1 Frontu Białoruskiego rozpoczęły zwycięską ofensywę zimową. Wykorzystując powodzenie 47 i 61 armii radzieckich, oddziały 1 Armii WP wyrzuciły w dniu 17 stycznia lewobrzeżną część kompletnie zniszczonej Warszawy, 1 polska brygada pancerna kontynuowała bez wytchnienia natarcie w składzie wojsk 47 Armii na kierunku Inowrocław - Bydgoszcz. W ślad za nimi wymaszerowała na zachód awangarda sił głównych i AWP - 1 brygada kawalerii i 4 dywizja piechoty. Równoległe do niej wyruszyła Grupa osłona Frontu w składzie 3 i 6 dywizji piechoty wzmocnionych artylerią. Zajmowały one kolejne rubieże obrony na południowym brzegu Wisły, aby osłonić lukę między skrzydłowymi armiami I i II Frontów Białoruskich, zwycięsko nacierających na zachód bez styczności taktycznej.

19 stycznia w wyzwolonej Warszawie przed najwyższymi dostojnikami PRL, na czele z Bolesławem Bierutem, przedefiniowały wówczas Alejami Jerozolimskimi szlaki bojowe jednostek 1 i 2 dywizji piechoty. Nad nimi zaś - samoloty z 4 polskiej mieszanej dywizji lotniczej.

Po defiladzie nasza 1 dywizja piechoty wymaszerowała na zachód, a 2 dywizja czasowo pozostała w stolicy do pełnienia służby garnizonowej. Jej dowódcą, generał Jan Rotkiewicz, został mianowany dowódcą garnizonu Warszawy. Po 23 stycznia dywizję tę zastąpiła 5 dywizja piechoty z 2 Armii WP.

Oddziały 1 AWP systematycznie maszerowały w kierunku Bydgoszczy oczyszczając teren z niedobitków wojsk hitlerowskich i organizując po drodze władzę ludową i nowy porządek społeczny. Wyprowadzała je 1 brygada pancerna, nacierająca w składzie 47 Armii. W dniu 28 stycznia nasza armia pomyślnie zgrupowała się w rejonie Bydgoszczy. W ciągu 8 dni, w ciężkich warunkach zimowych, żołnierze polscy pokonali odległość 250 - 270 km. Tymczasem oddziały 47 Armii wypędziły nas już o przeszło 50 km i opanowały Nakło. Natomiast zupełnie fantastyczne tempo osiągnęła wówczas radziecka 2 Armia Pancerna, wypędzająca prawie o 100 km armię ogólnowojskową. Właśnie w dniu 28 stycznia przełamała ona z marszu główną pozycję Wału Pomorskiego na południe od Wałca i ruszyła przez Trzciankę w kierunku Odrzy. Co raz bardziej, dzięki tym działaniom, pogłębiały się chaos i rozpręczenie w szeregach wojsk hitlerowskich - mimo mianowania Himmlera dowódcą nowo sformowanej Grupy Armii „Wisła”. Jakże miernie wyglądała wówczas hitlerowska machina wojenna wobec wspólnych sukcesów, waleczności i operatywności wojsk radzieckich oraz mistrzostwa ich dowódców.

Pełni nadziei na szybkie wyzwolenie całej Polski i zakończenie wojny, wyruszyliśmy 29 stycznia z Bydgoszczy do Koronowa. Nasza 1 dywizja maszerowała do frontu jako awangarda sił głównych 1 AWP: za nami - 4 dywizja, 1 brygada kawalerii oraz armijne oddziały artylerii i wojsk pancernych, na lewo od nas, południową marszrutą - 4 i 6 dywizje piechoty.

Marsz odbywał się przy silnym mrozie i śnieżycy. Kolumny piechoty musiały torować sobie drogę przez zanieżone pola i lasy. Po południu rozszalała się burza śnieżna. Kolumny zmotywowane dywizji z trudem, i tylko dzięki użyciu gasienicowych dział pancernych do przecierania drogi, pokonywały głębokie śniegi na szosie. Resztkami benzyny dojeżdżaliśmy do Koronowa, gdzie dowództwo dywizji zarządziło dotankowanie tylko wybranych wozów, kosztem reszty, która miała pozostać w mieście i czekać na nadejście transportu z materiałami pędnymi.

Rano 30 stycznia do Sępólna Krajańskiego wyruszyły tylko samochody dowództwa i sztabu dywizji, niezachowana część samochodów transportowych z zapasami, połowa wozów bojowych z 1 sam. dywizjonu artylerii pancernej i jeden dywizjon z 1 pułku artylerii lekkiej. Po wielu godzinach wyczerpującego i powolnego marszu po zanieżonej i zatłoczonej szosie, pokonując zawieszony śnieżną, dotarliśmy do Sępólna Krajańskiego. Prawie całkowicie wyczerpaliśmy zapas benzyny. Dowództwo dywizji zdecydowało więc zatrzymać czołowe kolumny zmotywowane w tym mieście do czasu dowozu wystarczającej ilości paliwa. Jednostki zmotywowane 4 dywizji zatrzymały się w rejonie Węgorbka, a oddziały pancernie armii stanęły w rejonie Lutowa. Kolejno zatrzymały się wszystkie jednostki zmotywowane 1 AWP maszerujące za nami. Szybki pościg za nieprzyjacielem załamał się. Armia zamarała w bezruchu.

Do przodu posuwały się tylko oddziały piechoty z lekką artylerią i taborami o ciągu konnym, z minimalnymi zapasami żywności i amunicji.

Wieczorem, 30 stycznia, 11 pułk piechoty 4 dywizji, maszerujący na czele lewego (południowego) zgrupowania, dotarł do Złotowa broniącego przez pododdział z 15 dywizji SS „Letland”, składającej się z lotewskich faszystów. Do rana Polacy całkowicie opanowali miasto, kładąc trupem około 300 esesmanów, a 70 biorąc do niewoli. Została więc otwarta droga dla 4 dywizji w kierunku Jastrowia, położonego w pasie przesłaniania Wału Pomorskiego.

Na północ od Złotowa 2 i 3 pułk piechoty naszej dywizji, maszerujące na czele prawego zgrupowania, rozbiły rankiem 31 stycznia niemieckie ubezpieczenie bojowe w Kamieniu i Radwanicy. Następnie pomyślnie dotarły do pasa przesłaniania Wału Pomorskiego, gdzie 2 batalion 3 pp z marszu opanował wieś Grudna i most na rzece Gwdzie i zdobył przyczółek na jej zachodnim brzegu.

Niebawem 4 kompania piechoty (ok. 70 ludzi) pod dowództwem ppor. Alfreda Sofki wyruszyła lasem na zachód w kierunku wsi Podgaje, ale trafiła tam pod silny ogień nieprzyjaciela i zaległa w czystym polu. Rozpoczęła się nierówna, zawzięta walka ogniowa. Pomoc nie nadeszła, ponieważ inne kompanie 2 batalionu zostały związane walką o utrzymanie przyczółka na zachodnim brzegu Gwdy. Osamotniona 4 kompania zawzięcie się broniła, osaczona przez esesmanów. Amunicja wyczerpała się jednak i tylko część kompanii zdołała się wycofać. 32 żołnierzy polskich dostało się do niewoli. Faszyci lotewscy powiazali im ręce drutem kolczastym i zamknęli w stodole, którą następnie podpalił. Tylko ppor. Jan Frugała zdołał się wydostać z płonącej stodoly. Pozostali żołnierze polscy spłoneli żywcem. Była to kolejna potworna i ohydna zbrodnia żołdaków hitlerowskich.

Do końca dnia 31 stycznia, cały pułk piechoty przeprowadził się na zachodni brzeg Gwdy i znacznie poszerzył przyczółek. Nie mógł jednak zdobyć wsi Podgaje, gdyż brakowało mu wsparcia czołgami i ogniem artylerii. Przeprowadził więc powolne natarcie w kierunku szosy łączącej Podgaje z Jastrowiem, rozpoczynając przed zmierzchem czołowe oddziały 2 pułku. Wieczorem do pola walki dotarł konno dowódca naszej dywizji, generał Wojciech Bewziuk i rozkazał dowódcy 3 pp zorganizować nocne natarcie na wieś. Kolejne ataki znów się jednak załamały. Wyczerpały się również niewielkie zapasy amunicji niedzielnego 81 mm moździerzy batalionowych.

1 lutego do walki o wieś i szosę stopniowo włączyły się pododdziały 1 i 2 pułków piechoty. Ich kolejne próby natarcia załamały się jednak pod silnym ogniem broni maszynowej i artylerii nieprzyjaciela.

W międzyczasie, na południe od nas, oddziały 4 dywizji piechoty dotarły do Jastrowia. Jej dowódcą, generał Bolesław Kieniewicz, zdecydował zdobyć miasto kombinowanym uderzeniem oskrzydającym wykorzystując powodzenie lewego sąsiada - radzieckiej 76 dywizji strzeleckiej 47 Armii. W związku z tym pułki piechoty dokonały manewru na południe i kolejno przeszły przez ugrupowanie bojowe oddziałów radzieckich. Następnie 11 i 12 pułki piechoty ruszyły do przodu i do rana 2 lutego opanowały wieś Szwecja, położoną około 16 km na południowy zachód od Jastrowia, a 10 pp skręcił na północ i blokował miasto od zachodu. Jednocześnie z nim na południe od miasta wyszedł też 16 pułk piechoty z 6 dywizji, a od wschodu nadciągnął 8 pułk piechoty z 3 dywizji. Od rana 2 lutego, rozpoczął się zbieżny atak na Jastrowie.

Około północy miasto zostało wreszcie zdobyte. Nieprzyjaciel stracił ok. 350 ludzi, a 64 esesmanów wzięto do niewoli.

Siły główne 15 dywizji SS „Letland” stopniowo wycofywały się szosą wiodącą na Podgaje. Kolejne ich fale uderzały teraz w otwarte skrzydła oddziałów 1 dywizji piechoty walczących w rejonie tej wsi. Przez dwa dni i noc na otwartym polu, w śniegu i mrozie, trwała wokół Podgajów zawzięta i okrutna walka. Poszczególne obiekty terenowe przechodziły kilkakrotnie z rąk do rąk. Szosa usiana była trupami esesmanów i rozbitym sprzętem nieprzyjaciela. Kosciuszkiwockim bohaterstwo walczących z wrogiem bez wsparcia ogniem artylerii. Dzielnie pomagał im jeden czołg radziecki, który przypadkowo trafił na pole walki, dopędzając macierzysty oddział. Był to jeden z wielu przykładów prawdziwego, spontanicznego braterstwa broni, bezpośrednio między żołnierzami, bez „odgórnych” rozkazów.

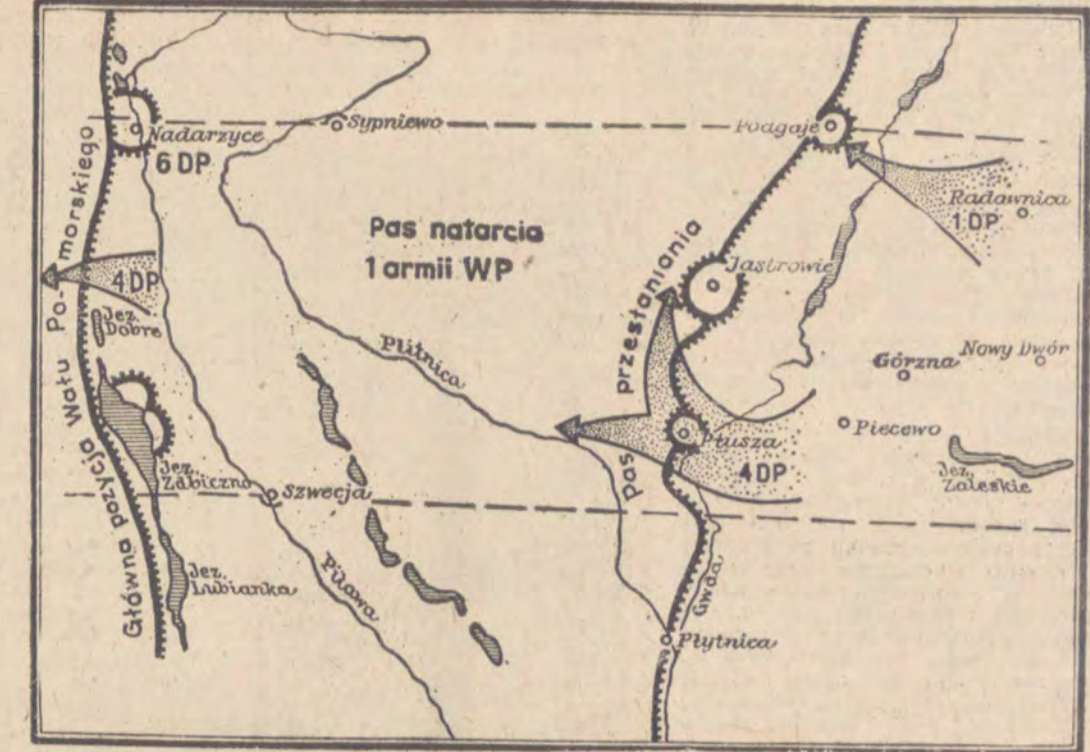
Pod koniec dnia, 2 lutego, sytuacja wyraźnie się poprawiła. Nadjechały bowiem pułkowe baterie moździerzy 120 mm oraz dywizyjny z 1 armijnego pułku moździerzy i 1 brygady artylerii ciężkiej na ciągu gasienicowym. Dowiedziono również część amunicji. Zorganizowałem ograniczone wsparcie ogniowe. Pododdziały 2 pp ruszyły do ataku, przecięły szosę Jastrowie - Podgaje i rozpoczęły natarcie na zachód. O świcie nadciągnęły następne jednostki artylerii: 12 pułk artylerii haubic z 3 BAH oraz 1 i 2 baterie artylerii pancernej z dywizyjnego i sdapanec. Nareszcie mogłem zorganizować należyte wsparcie ogniowe natarcia własnej piechoty, dysponując odpowiednią ilością artylerii, dział pancernych i amunicji.

Przed południem, 3 lutego, pod osłoną skutecznego ognia artylerii, pododdziały 1 i 3 pułków piechoty ruszyły do szturmu i opanowały Podgaje w popołudniu opuszczone przez hitlerowców, zdziesiątkowanych nowoczesnym ogniem artylerii i dział pancernych. Następnie 3 pp zajął obronę frontem na północ, a 1 pp ruszył na zachód, aby rozwinąć powodzenie 2 pp w natarciu na Sypniewo. Przechodząc przez wieś pododdziały polskie oddawały hold kolegom bestialsko spalonym żywcem przez esesmanów i przysięgali też bezpardonową walkę ze zmiennawidzonym wrogiem. Uczucie oburzenia i bólu w pewnym stopniu łagodziła satysfakcja z wielkich strat, jakie zadaliśmy

nieprzyjacielowi. W rejonie Podgajów hitlerowcy stracili bowiem ponad 2.000 ludzi, 400 samochodów, 20 dział, 500 wozów konnych itd, a przeszło 40 esesmanów wzięto do niewoli.

Po południu 4 lutego sztab naszej dywizji, posuwając się na zachód za nacierającymi pułkami piechoty, rozlokował się w Sypniewie. Spotkali tam radzieckie oddziały kawalerii z 4 dywizji 2 korpusu kawalerii gw. Opanowały one Sypniewo - jako oddziały wydzielone już 1 lutego, kiedy walczymi pod Podgajami położonymi ok. 18 km na wschód od nich. Z powodu braku amunicji gwardziści przeszli do obrony okrężnej, czekając na nadejście sił głównych swego korpusu. Zamiast tego, z odsieczą przyszły do nich oddziały polskie z 6 dywizji piechoty, które posuwały się z południa na północ. Rano, 4 lutego, odblokowały Sypniewo i opanowały rubież Kłomina - Nadarzyce, 18 pp wyzwolił obóz jeńców - oflag Gross Born, położony nieopodal Kłomina. W obozie tym przebywało w niewoli ok. 6 tys. oficerów różnych narodowości, a wśród nich prawie 1.200 oficerów polskich. Zdobyto tam również wielkie magazyny z żywnością, bronią i amunicją.

5 lutego, oddziały naszej dywizji zajęły obronę na północ od Kłomina w celu osłony prawego (północnego) skrzydła naszej Armii, zgrupowanej w rejonie: Sypniewo, Zabice, Szwecja, Jastrowie i Złotów. Oddziały zaś 4 i 6 dywizji piechoty prowadziły lokalne ataki na główną pozycję Wału Pomorskiego. Tylko 11 pp 4 dywizji piechoty udało się przełamać obronę niemiecką na północ



od jeziora Dobrze i dotrzeć do majątku Dobrzyce, położonego przed szosą Wałca - Czaplinek. Pułk umiejętnie wykorzystał trudne warunki terenowe i silny ogień artylerii. Na lewo od 4 dywizji oddziały radzieckie z 76 i 175 dywizji strzeleckich 47 Armii rozpoczęły walkę o zdobycie Wałca, oskrzydłując miasto od północy i południa. Pomyślnie rozwijała się ogólna sytuacja. Zakończył się kryzys paliwowo-amunicyjny, a tyły i rzuty kwaterymistrzowskie naszej i innych dywizji przegrupowały się z Bydgoszczy do strefy przyfrontowej. Szczególnie radomska była wiadomość, że do Złotowa zbliżyły się aż trzy zestawy transportów kolejowych (eszelonów) z paliwem i amunicją. Ich nadejście umożliwiło uruchomienie wszystkich dywizyjnych i armijnych jednostek artylerii i wojsk pancernych, które będą mogły nareszcie wyruszyć do frontu i zapewnić należyte wsparcie natarcia piechoty na główną pozycję Wału Pomorskiego.

Nocą z 5 na 6 lutego zastępca dowódcy i AWP, przystąpił do opracowania i realizacji planu wprowadzenia naszej dywizji do bitwy na kierunku głównego uderzenia armii na styku między 6 a 4 dywizjami, w celu dokonania ostatecznego przełamania głównej pozycji Wału Pomorskiego jednoczesnym uderzeniem trzech dywizji na odcinku szerokości ok. 6 km. Nad ranem przyszedł on do Sypniewa na nasz SD, aby osobiście dowodzić operacją wykorzystując nasz system łączności i dowodzenia.

Przed południem, 6 lutego, po silnym artyleryjskim przygotowaniu ataku, piechota polska - wsparta czołgami i działami pancernymi - ruszyła do szturmu na żelbetonowe schrony bojowe, wbudowane w pagórki, położone w dużym masywie leśnym.

Na lewym skrzydle odcinka przełamania siły główne 4 dywizji szybko poszerzyły wyłom dokonany przez 11 pp w dniu poprzednim - do końca dnia przełamały główną pozycję Wału Pomorskiego na całą głębokość i przekroczyły szosę Wałca - Czaplinek w rejonie leśniczówki Jeleń. W centrum 1 i 2 pp naszej dywizji pomyślnie dotarły do szosy na odcinku między Iłowcem a Rudkami. Na prawym zaś skrzydle oddziały 6 dywizji zdobyły Nadarzyce i posunęły się ok. 3 km na zachód w głąb lasu, osłaniając natarcie 1 i 4 dywizji od północy i odierając skrzydłowe kontrataki nieprzyjaciela.

Wspólnym wysiłkiem została więc całkowicie przełamana główna pozycja Wału Pomorskiego. Nazajutrz kontynuowano poszerzenie wyłomu, odpiernano lokalne kontrataki nieprzyjaciela i oczyszczano wyłom od drobnych grup nieprzyjaciela, chaotycznie błąkających się po lesie. Do

końca dnia 7 lutego pierwszorzutowe oddziały 6 i 1 i 4 dywizji uromyły się na rubieży: Nadarzyce, Iłowiec, Wieloboki, Rudki, Golice. Krótką przerwę w natarciu wykorzystaliśmy na uporządkowanie własnych szlaków bojowych i przygotowaniu się do następnego etapu operacji.

W dniu 8 lutego rozpoczęliśmy planowe opracowanie dokumentacji bojowej do natarcia w kierunku Czaplinka. Nagle praca została wstrzymana. Sytuacja na froncie uległa bowiem zasadniczej zmianie. W rejonie Stargardu, Bani i Pyrzyce nieprzyjaciel zaczął gromadzić silne zgrupowanie uderzeniowe w celu wykonania przeciwnatarcia z północy na południe na prawe skrzydło wojsk Frontu. Marszałek Geоргий Жуков rozkazał więc 1 AWP niezwłocznie wykonać uderzenie w kierunku Mirosławca, aby zagrozić drogę wschodniemu skrzydłu niemieckiego zgrupowania uderzeniowego.

Dowódca Armii generał Stanisław Popławski zdecydował uderzyć na Mirosławiec 9 lutego siłami 1 i 2 dywizji wzmocnionych całością Wojsk Pancernych armii oraz trzema brygadami, 3 i 6 dywizja miały osłaniać prawe (północne) skrzydło uderzenia, zajmując obronę na osiągniętej rubieży, a 4 dywizja - lewa skrzydło, rozwijając natarcie na południowy zachód i przecinając szosę Wałca-Mirosławiec.

Rano, 9 lutego, po piętnastominutowym przygotowaniu artyleryjskim ruszyły do natarcia oddziały 1 i 2 dywizji. Rozpoczęły się klasyczne,

skuteczne i szybkie działania zaczepne. Umiejętnie zastosowana śmiała manewry oskrzydlenia i wychodzenia na tyły cofającego się nieprzyjaciela. Zdecydowanie i kompletnie niszczone jego punkty oporu. Właściwie wykorzystano potęgę ognia artylerii oraz szybkość i siłę uderzenia czołgów, które spowodowały całkowitą klęskę niemieckich jednostek piechoty z dywizji „Märkischer Pflanzland”, cofających się w popołudniu na zachód. Szczególnie wyróżniła się 1 brygada pancerna. Jej czołg, z desantem fizylierów, wyprowadzając piechotę o kilka kilometrów, 10 lutego około godziny 15.00 wdarły się do wschodnich krańców miasta i wszczęły walki uliczne. Wieczorem zaś, po dokonaniu ponad 30 km włamania w obronę niemiecką, polskie zgrupowanie uderzeniowe całkowicie opanowało Mirosławiec. W międzyczasie 4 dywizja opanowała Lubno, przecięła szosę Wałca - Mirosławiec i wspólnie z radzieckimi oddziałami z 47 Armii przystąpiła do blokady Wałca od zachodu.

Od świtu 11 lutego oddziały 2 dywizji rozpoczęły lokalne działania zaczepne na północ od miasta, a 1 dywizja - w kierunku zachodnim, w celu poszerzenia wyłomu i nawiązania styczności taktycznej z sąsiadami. W dniu 12 lutego 1 pp naszej dywizji, wzmocniony 13 pułkiem art. pancernej i wsparty ogniem liczonej artylerii, zdobył Iłowiec Wałca i zorganizował współdziałanie ogniowe z lewym sąsiadem - radzieckim 117 pułkiem strzeleckim 23 dywizji 61 Armii. Od 13 lutego 1 AWP przeszła do obrony rubieży opanowanej dotychczas na froncie szerokością ok. 40 km od Nadarzyce do Iłowicza Wałeckiego. Operacja zaczepna została pomyślnie zakończona w ścisłym współdziałaniu z oddziałami radzieckimi.

Do końca lutego sztab i oddziały polskie doskonaliły obronę na zdobytej rubieży i gruntownie przygotowywały się do wiosennej frontowej operacji zaczepnej w celu całkowitego wyzwolenia Pomorza Zachodniego. W ramach przygotowywanej akcji, 19 lutego wykonane zostały lokalne działania zaczepne o ograniczonym zasięgu. Oddziały pierwszego rzutu naszej armii na niektórych odcinkach odrzuciły Niemców do tyłu i zdobyły bardziej dogodnie pozycje wyjściowe do przyszłego natarcia. W walce i ciężkiej pracy szybko minął nam czas.

Nadeszła 27 rocznica powstania Armii Radzieckiej. W przedmiotu święta gościliśmy w Mirosławcu grupę radzieckich oficerów z dowództwa 207 dywizji strzeleckiej z 3 A. Ud. Wieczorem zaś, 23 lutego, byliśmy u nich z rewizją. Spotkania upłynęły w przyjacielskiej atmosferze, wielokrotnie wznosiliśmy toasty za frontowe braterstwo broni i przyjaźń oraz za rychłe wyzwolenie Polski i zwycięstwo nad niemieckim faszystem.

W OFENSYWIE STYCZNIOWEJ LEON DUBICKI

— Jakież to piękne — powiedział Ryszard Fedorowski, kiedy staliśmy na balkonie na dziesiątym piętrze i podziwiali nocną panoramę Sofii. Miasto istotnie jest pięknie oświetlone. Światła latarni ulicznych i okien w wieżowcach układają się w kolorową mozaikę, ukazując odległe dzielnice stolicy Bułgarii.

— Z tarasu na hotelu „Moskwa” widać to jeszcze lepiej — próbował ktoś ostudzić nasz zachwyty.

Hotel „Moskwa” stoi na wzgórze i kiedy z najwyższych pięter patrzy się na rozciągającą się rozświetloną panoramę Sofii, ma się wrażenie jakby oglądało się makietę specjalnie zrobioną dla zachwycenia gości. Widać ogrom i rozłożystość miasta. A przecież Sofia jest dopiero od 100 lat stolicą Bułgarii. Sto lat minie dokładnie w kwietniu 1979 roku.

Sofia to

CZWARTA STOLICA.

Pierwszą była Pliska. Bułgarzy pojawili się na Bałkanach w VII wieku naszej ery. Wiodł ich chęć Asparuch. On też, ułożywszy się z władcą bizantyjskim Konstantynem IV, stał się założycielem państwa bułgarskiego. Stolicę swego państwa ustanowił w Plisce.

Dzisiejsza Pliska leży niedaleko miast Novi Pazar i Kaspican w pobliżu trasy samochodowej wiodącej z Warny przez Szumen, Weliko Tyrnowo do Sofii. Z dawnej Pliski zostało bardzo mało. W Bułgarii w ogóle mało jest zabytków. Wiele z nich kryje się jeszcze w ziemi. Trwają poszukiwania, a to, co się odnajduje, otacza się szczególną pieczołowitością. W samym centrum Sofii można zobaczyć ślady trackich murów warownych troskliwie wkomponowanych w podziemne przejście. W pobliżu znajduje się inne podziemne przejście, gdzie również wkomponowano odkryty zabytek.

Bulgaria, której państwowość liczy już trzynaście wieków, dwukrotnie była w niewoli. Przez 173 lata w niewoli bizantyjskiej i przez pięć wieków w niewoli tureckiej. Turcy dokładnie starali się zniszczyć wszystko, co mogłoby tylko świadczyć o bułgarskich tradycjach, o przeszłości tej ziemi i narodu. Pozwalali wprawdzie budować cerkwie, ale nie mogły one być wyższe od meczetów. Stąd w Bułgarii jest tyle starych cerkiew jakby wkomponowanych w ziemię. Taką cerkiew można spotkać i zwiedzić w samym centrum Sofii. Wchodzi się do niej schodami niczym do piwnicy.

Bulgaria przyjęła chrzest w 866 roku. Od 893 roku miała prawo szerzenia oświaty i odprawiania nabożeństw w języku bułgarskim. Twórcami języka, jak i bułgarskiego — a także słowiańskiego — pismienictwa, byli bracia Cyryl i Metody. Ich uczniowie utrwalali chrześcijaństwo w Bułgarii. Car Symeon Wielki przeniósł stolicę Bułgarii z pogańskiej Pliski do bardziej chrześcijańskiego Preslawia. Odległość między obu stolicami nie była tak wielka. Preslaw leży 19 km na południe od Szumenu, a z Szumenu do Pliski jest niespełna 30 km. Ale była to różnica dwu epok: pogańskiej i chrześcijańskiej Bułgarii.

Państwo rosło w siłę i stało się niebezpiecznym sąsiadem dla Bizancjum. Bazyli II, zwany też Bułgarobójcą, pokonał wojska bułgarskie, podbił Bułgarię, a wziętych do niewoli 14 tysięcy bułgarskich wojowników kazał oślepić. Zostawiał oczy tylko co setnemu Bułgarowi, aby mógł wieść do domu 99 ślepców.

Stolicą Drugiego Cesarstwa Bułgarskiego zostało Weliko Tyrnowo. Centrum odrodzonej Bułgarii przesunęło się już dalej na zachód. Ale rozwój Bułgarii przerwał zwycięski pochód Turków. W 1382 roku zdobyli Sredec — jak się wówczas nazywała Sofia — i nie minęło 5 lat, jak przestało istnieć ostatnie z podzielonych na trzy części państw bułgarskich, państwo Iwana Stracimira, które miało swe centrum w Widynie.

CZWARTA STOLICA.

jest dosyć długa, choć próżno byłoby szukać miasta o tej nazwie przed XIV wiekiem. Na początku była to mała osada tracka — Serdika. Rzymianie uczynili z niej miasto. Trajan nadał temu miastu nazwę Ulpia. Konstantyn Wielki nazwał je „moim Rzymem” i nawet zamyslał, aby do Ulpii przenieść stolicę cesarstwa, ale okazało się to zupełnie nierealne.

W V wieku naszej ery zniszczyli Ulpie Hunowie. Odbudował miasto cesarz bizantyjski Justynian i nadał mu nazwę Triadica. W tym czasie zbudowano w Triadice bazylikę św. Zofii i od tej bazyliki w XIV wieku miasto wzięło nazwę Sofia. Choć Bułgarzy opowiadają też legendę, według której cesarz Justynian szukał miejsca, w którym jego córka Zofia mogłaby odzyskać zdrowie i znalazł je właśnie u stóp gór Witosza, tam, gdzie leżała ówczesna Triadica. Po odzyskaniu zdrowia przez Zofię miasto otrzymało jej imię.

Turcy zrobili wszystko, aby Sofia nie była wielkim miastem, aby nie

rozwijala się. Kiedy w 1879 roku Sofię ogłoszono stolicą Królestwa Bułgarskiego, liczyła zaledwie 15 tys. mieszkańców, była drewniana, źle zabudowana, brudna i zaniedbana. I oto mija

STO LAT

od tamtego momentu. Jakże inne dziś to miasto, jak zmienione, pięknie rozbudowane, z szerokimi ulicami, sprawną komunikacją, atrakcyjne dla mieszkańców i turystów.

Sofia ma przede wszystkim znakomite położenie. Leży w połowie drogi łączącej Morze Czarne z Adriatykiem. Z Sofii jest niemal taka sama odległość do Bukaresztu,

wybudowano duży ośrodek przemysłowy, i w nim hutę żelaza, to w planie perspektywicznym ogranicza się rozwój przemysłu w stolicy. Jeśli powstaną jakieś fabryki, to jedynie takie, które nie będą groźne dla naturalnego środowiska. Przemysł Sofii dostarcza jednak około 20 procent produkcji krajowej. Jest tu też spory ośrodek naukowy, obejmujący również około 20 procent potencjału naukowego Bułgarii z Bułgarską Akademią Nauk i uniwersytetem założonym w 1888 roku. Ale to już jest. Postanawia się więc w planach sięgających do 1999 roku poprzestać na tym, co osiągnięto, skupić się na poprawie warunków życia mieszkańców stolicy.

Przyjechałem do Sofii w pierw-

święto tylko z opowieści i lektur Trifona Zarezan jest bułgarskim patronem wina. Był on synem karczmarza, który miał karczmę na rozdrożach między piekłem a rajem. Zginął w walce z diabłami, których oszukiwał na winie, a ci odkryli oszustwo. Wtedy dobry Bóg zatrudnił Trifona w swoich winnicach. Ale Trifonowi nie podobała się ta praca. Akurat 14 lutego postanowił się zemścić na dobrym Bogu za tego dobroć i powycinał mu wszystkie pędy w winnicach. Ale stało się inaczej. Wina latorośl odrodziła się i dała jeszcze piękniejsze plony. Wtedy dobry Bóg orzekł, że Trifon musi zostać świętym. Jemu jednak było w raju nudno. Postanowił poszukać so-

można było przyjmować gości przez cały rok. Buduje się hotele. Porządkuje się układ komunikacyjny. Przykładem tego może być między innymi Bulwar W. I. Lenin (w Bułgarii wszystkie nazwy ulic i placów odaje się w pierwszym przypadku), który stał się szeroką trasą komunikacyjną, prowadzącą do nowych osiedli i w stronę portu lotniczego.

W Sofii jest 780 parków i skwerów, wiele rzadkich drzew. Wieczorem w parkach można spotkać młodych Bułgarów — widziałem także dziewczęta — biegających w dresach dla zdrowia. Nie widziałem wprawdzie specjalnie robionych ścieżek zdrowia, amatorzy ruchu biegali po prostu po asfaltowych uliczkach. I to nie tylko na przedmieściach, ale w samym centrum Sofii.

Sofia zapchana jest samochodami, choć ruch nie jest teraz tak wielki, jak wtedy, kiedy ruszą do Bułgarii zmotoryzowani turyści. W Sofii na 100 rodzin przypada 25 samochodów. Stoją one przez cały tydzień gęsto poustawiane na bocznych uliczkach, którymi trudno nie tylko jeździć, ale i chodzić. A rusza to wszystko w sobotę i niedzielę, kiedy sfajfują jadą odpoczywać w swoich „willałach”, tak tutaj nazywa się „daczki”, czyli nasze „drugie domy”, nie zawsze przecież letnie. Z tego też powodu, Sofia będzie modernizowała swój układ komunikacyjny. Ograniczono ruch samochodowy w centrum miasta. Na przykład na Bulwarze Rosyjskim samochody jeżdżą jak u nas w Łodzi na ulicy Piotrkowskiej, tylko do najbliższego skrzyżowania. Znaczna część Bulwaru Rosyjskiego zamieniona została na promenadę.

Rozwój turystyki zakłada szczególną troskę o zabytki. Jest ich w Sofii 250, ale Bułgarzy uważają nadal, że to mało. Każdy więc wykop, każde prace ziemne znajdują się pod ścisłą kontrolą archeologów, aby przypadkiem nie stracić okazji do odkrycia czegoś, co może stanowić cenny zabytek bułgarskiej przeszłości. I czyni się tak nie bez racji, bo — jak już wspominałem — przy budowie przejść podziemnych odkryto właśnie dwie cenne pamiątki.

A buduje się w Sofii sporo. W latach 1976—1980 powstanie w Sofii 72 tysiące mieszkań, to jest dwa razy tyle, co w poprzednich pięciu latach. Buduje się oczywiście na peryferiach miasta, starając się o to, aby każde osiedle miało swój własny charakter, aby było inne. I trzeba przyznać, że to się w znacznej mierze udaje.

Dobry obyczaj nakazuje pytać gościa, jak mu się podoba kraj, miasto? Grzeczność nakazuje mówić, że mi się wszystko podoba, nawet gdyby tak nie było. Ale mogłem spełniać powinność, jaką nakazuje grzeczność bez sprzeczności z tym, co myślałem, gdyż mi się Sofia naprawdę podoba. Ma to miasto swój charakter, swój urok i to widoczny nie tylko w starej części, ale też w nowych dzielnicach. Mogłem sobie jednak tylko wyobrazić, jak tu musi być pięknie, gdy zazielenia się drzewa, gdy zakwitną kwiaty, a wieczorem liczne i tak bardzo różne lampy skryją swoje światła wśród liści. Czy innym też się podoba Sofia? — tego nie wiem.

W Burgas spotkałem młodego Bułgara, który na papierowej serwetce wyrysował mi dokładnie mapę Polski i CSRS zaznaczając wszystkie większe miasta, w których był, ale który raz tylko był przejazdem w Sofii i wcale nie zna Bułgarii poza kurortami wybrzeża Morza Czarnego. Jest to niewątpliwie wynik letnich kontaktów turystycznych, które rodzą liczne zaproszenia napływające z Polski lub CSRS. Natomiast wynikiem rozwijającej się współpracy między Bułgarią i Polską jest spora grupa

POLAKÓW, KTÓRYCH SPOTKA SIĘ W SOFII.

W Polskim Ośrodku Kultury — który mieści się przy Bulwarze Rosyjskim — spotkałem byłego dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi — Włodzimierza Pospięcha, który w Sofii reprezentował „Polskie Nagrania” z okazji prezentowania tam naszych płyt. Byłem na wieczorze polskiej satyry, o której barwnie i z dużą znajomością rzeczy mówił bułgarski specjalista. Brałem też udział w spotkaniu bułgarskich brigad przedsiębiorstw budowlanych, które noszą imię polskich wybitnych działaczy: Marceliego Nowotki, Janka Krasickiego, a także Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej. Jedną z brigad Kombinału Metalurgicznego w Kremikowach nosi imię generała Karola Świerczewskiego. Spotkałem też polskich specjalistów, którzy w Kameno kolo Burgas budują największą w Bułgarii cukrownię. Ale to już było później, kiedy ruszyłem na wschód, nad Morze Czarne, do Burgas. W Sofii bowiem zaczęła się tylko moja bułgarska podróż, celem której był poznanie polsko-bułgarskiej współpracy gospodarczej. Ale to już inny temat.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ŚWIATŁA SOFII



Foto: Archiwum

Belgradu i Tirany. I chociaż nie zawsze drogi nad Morze Czarne prowadzą przez Sofię, to przecież wielu turystów zbacza chętnie z trasy, aby zobaczyć stolicę Bułgarii. I nie żałuje tego.

Sofia ma znakomite położenie również z innego powodu. Leży u podnóża gór Witosza i w każdą wolną sobotę, w każdą niedzielę autobusy jadące w góry są pełne. Leży Sofia na wysokości 550 metrów ponad poziom morza, ma dość czyste powietrze i tylko niektórzy przybysze narzekają, że w nocy nie mogą spać, a winią za to górskie wiatry.

Dziś Sofia liczy sobie 1.060 tysięcy mieszkańców i nie będzie ich więcej. Postanowiono bowiem, że ludność rosnąć będzie jedynie drogą przyrostu naturalnego. To ograniczenie wynika z tego, że Bułgaria chce, aby i w innych miastach kraju rozwijały się ośrodki kultury nauki i gospodarki, aby w innych miastach kwitło też życie społeczne. Oczywiście Sofia jako stolica kraju, utrzymuje prymat w skupianiu wybitnych fachowców, twórców kultury, ale musi to być uzasadnione interesem ogólnonarodowym.

Władze Sofii chcą

UNIKNAĆ BŁĘDÓW

Innych miast. I chociaż na przykład w Kremikowcach, nie opodal Sofii,

szep połowie lutego 1979 roku. W Warszawie był mróz. W Sofii pięknie świeciło słońce, ludzie siedzieli w parkach na ławkach, a młodzi chodzili z lodami w ręku. Zakwitły krokusy. W kawiarniach potwierdzono okna. Wystawiono na chodnik pierwsze kolorowe stoliki. Co odważniejsi wychodzili na miasto w samych marynarkach. W biurze rady handlowej polskiej ambasady w Sofii widziałem kierowcę mijającego samochód w gimnastycznej podkoszulce. Temperatura w południe dochodziła do 20 stopni C. Z kraju nadchodzili komunikaty o kolejnych atakach zimy. W bułgarskiej telewizji oglądałem prognozę pogody. Północna część Europy oznaczona była gwiazdkami śniegu i minutowymi temperaturami. Dla Bułgarii zapowiadano zachmurzenie przejściowe i ciepło. Kobiety spacerowały z kwiatami w ręku. Ulice pełne były turystów, choć do sezonu turystycznego jeszcze daleko.

Ryszard Fedorowski, który w Sofii pełni obowiązki korespondenta katowickiej „Trybuny Robotniczej” cieszył się, że pojedzie na

ŚWIĘTO TRIFONA ZAREZANA.

Zaprosili go na nie bułgarscy dziennikarze z „Sofia Press”. Trochę mu tego zazdrościłem, gdyż znam to

bie kawał ziemi. I tak trafił do Bułgarii.

14 lutego każdego roku pracownicy winnic udają się w pole, aby przecinać winną latorośl. Ucięte pędy polewa się winem, aby lepiej rodyliły. Na pola wnosi się ledzenie i gąsiorzy z napitkiem. Kiedyś uczowano przez trzy dni. Tańczono i śpiewano. Dziś świętuje się tylko przez jeden dzień, bo ogromne bułgarskie winnice czekają na przycięcie pędów. Święto Trifona Zarezana obchodzi się jednak bardzo uroczście, hucznie, a biorą też w tym udział władze lokalne i okręgowe. Wieczorem w bułgarskiej telewizji pokazano ceremonię przycinania pędów, a później wiceminister wygłosił okolicznościowe przemówienie. Jak uczowano i bawiono się — tego już nie pokazano. A szkoda. Ryszard Fedorowski też mi o tym nie opowiedział, bo pojechałem dalej na wschód, do Burgas i już z nim się nie spotkałem.

Wspominam o tym między innymi dlatego, aby przełamać powszechnie panujące przekonanie, że Bułgaria jest atrakcyjna tylko w lecie. Zimą i wiosną też jest tu ładnie i może być atrakcyjnie. Dlatego w programie

ROZBUDOWY SOFII

klądzie się duży nacisk na stworzenie takiej bazy turystycznej, aby

„Enigma” A BITWA NA ATLANTYKU

Rozszyfrowanie systemu „Enigma” przez wywiad aliancki miało swój znaczący wpływ na losy bitew i kampanii wielu frontów II wojny światowej. Sprawa jest dostatecznie znana, podobnie jak udział Polaków w tym przedsięwzięciu bez precedensu. (Nb. Zespół Filmowy „Profil” przygotowuje film fabularny nt. „Enigma”, reż. R. Wionczek). Jednak co jakiś czas jesteśmy świadkami nowych publikacji i opracowań, ukazujących nie znaną dotąd rolę znaną z sziru na przebieg wydarzeń. Do takich publikacji można zaliczyć artykuł prof. Juergena Rokwera w najnowszym wydaniu „Marine-Rundschau”, przedstawiający pierwszą fazę bitwy atlantyckiej.

W październiku 1941 roku bitwa na Atlantyku między niemiecką flotą okrętów podwodnych, a brytyjskimi konwojami zdążającymi z USA do W. Brytanii, trwała już od wielu miesięcy. Brytyjczykom, dzięki wsparciu powietrznemu, udało się przedrzeć okryte podwodnie z obszaru na północ od Irlandii. Również na szlaku wodzącym do Gibraltaru flota niemiecka odnotowywała coraz mniej sukcesów. W tej sytuacji, 8 października 1941 roku, adm. Karl Doenitz, wydał odpowiednie rozkazy mające na celu doprowadzić do konfrontacji z nieprzyjacielem w sytuacji dla niego najmniej korzystnej, tj. w połowie drogi między kontynentem amerykańskim a Wyspami Brytyjskimi, na południowy wschód od Grenlandii.

W operacji tej wzięło udział 12 okrętów podwodnych. Doenitz nie wziął jednak pod uwagę, że w Bletchley Park pod Londynem pracuje grupa ekspertów od rozszyfrowywania kodów. W ciągu kilku godzin — jak wynika to z akt udostępnionych przez rząd brytyjski — kryptologom udało się rozszyfrować nadany drogą radiową rozkaz Doenitza. 12 października wydzielony konwój admirał został pomyślnie obroniony o usytuowaniu podwodnej blokady. W tym czasie w kierunku Anglii płynęło 5 konwojów liczących łącznie 302 statki handlowe, 17 niszczycieli i 17 korwet załadowanych ważnym sprzętem wojkowym. Sztaby marynarki W. Brytanii, USA i Kanady szybko wyciągnęły wnioski z sytuacji, zalecając wykonanie odpowiednich manewrów i przegrupowań. Tyko konwój SC-48, złożony z 52 frachtowców i 8 okrętów wojennych, na skutek sztormu stracił łączność i został zaatakowany przez hitlerowskie łodzie podwodne, które zatopiły 10 okrętów.

W dalszej fazie bitwy atlantyckiej, mimo wzrostu produkcji łodzi podwodnych i stosowania przez Doenitza taktyki, Niemcy przegrywali. Mimo trudności, gdyż Niemcy co kilka miesięcy zmieniali szczyt, eksperci z Bletchley Park, aż do końca wojny (z opóźnieniem najwyższej dwudniowym) rozszyfrowywali rozkazy dowództwa łodzi podwodnych.

W ostatnim okresie — m. in. na konferencjach w Bad Godesberg i Stuttgarcie — dyskutuje się na temat tego, jak wyglądał przebieg bitwy o Atlantyk bez rozszyfrowania systemu „Enigma”. Np. prof. Eberhard Jaeckel twierdzi, że wówczas Anglia mogła przegrac bitwę na Atlantyku i została odcięta od ważnych dostaw.

Nawet w 1973 roku, żyjący jeszcze podówczas Doenitz nie chciał przyznać, że jego rozkazy mogły być przez cztery lata systematycznie rozszyfrowywane. Tak więc i wgląd organizacyjne złożyły się na klęskę Niemców w wojnie wywiadów. Oficerowie poszczególnych rodzajów broni niechętnie dzielili się informacjami i doświadczeniami, działanie utrudniała skostniała burokracja Trzeciej Rzeszy.

Historia musi także pamiętać o udziale Polaków w tej zwycięskiej wojnie wywiadów.

Kryzys ekonomiczny, jaki przeżywa obecnie Wielka Brytania, jest pogłębiany przez politykę brytyjskich monopoli, które w pogoni za maksymalnymi zyskami znacznie rozszerzyły w ostatnich latach wyzór swoich kapitałów za granicę. Zwiększa to zastój w ekonomice, powoduje dalszy wzrost masowego bezrobocia. Wyścig zbrojeń zaostrza obecny kryzys w Anglii i pogarsza i tak już ciężką sytuację ekonomiczną w kraju.

Laburzystom nie udało się zmniejszyć trudności socjalno-ekonomicznych, z którymi borykają się szerokie masy ludności. Chociaż laburzyści skrupulatnie notu-

ANGLIA

Okręt na wzburzonym morzu

Wszystkie pomysły dla nich imponowały polityczne, które mogły wywołać wrażenie polepszenia sytuacji ekonomicznej, to jednak istnieją kryteria faktów. Najbardziej morderczym faktem dla rządów laburzystów jest liczba bezrobotnych w kraju, która wzrosła niemal o milion osób, osiągając dziś rekordowy dla Anglii poziom — półtora miliona ludzi. Z różnych powodów laburzyści utracili większość w Westminsterze. Rozpada się ich „półkoalicja” z liberalami. Z powodu kontrowersji w sprawie ograniczenia podwyżki płac, laburzyści weszli w ostry konflikt ze związkami zawodowymi, które są ich główną podporą. Innymi słowy, w szeregach laburzystów widnieją liczne wylomy.

Kraj żyje w wyjątkowym napięciu, bowiem perspektywy nie są radosne. Prognoza znanej firmy „Phillips and Drouth” brzmi: „Tempo inflacji, która w pewnym momencie spadła do 8 procent rocznie, w najbliższym czasie może gwałtownie wzrosnąć, a wzrost cen detalicznych, w tej dziedzinie towarów pierwszej potrzeby, wynosi w tym roku około 12 proc.”. Objętość globalnego produktu narodowego zwiększyła się zaledwie o 1 procent. Rząd krząta się nerwowo, żeby tylko utrzymać się przy władzy, konserwatyści — żeby obalić rząd, związkowcy — żeby utrzymać swoje pozycje. Narastające w ostatnich miesiącach masowe wystąpienia robotników świadczą o zdecydowanym potępieniu ekonomicznej polityki rządu laburzystowskiego, który, jak podkreśla prasa brytyjska, „stara się uniknąć bezpośredniej konfrontacji z ruchem robotniczym”. Żądania strajkujących — chodzi o znaczną podwyżkę płac — wyraźnie nie mieszczą się w rządowej propozycji „pięcioprocentowego pułapu”. Ponadto dążenie rządu do zrzućcia na barki mas pracujących trudności ekonomicznych najwyraźniej nie zachęca robotników. Dyskusjom na temat trudności ekonomicznych w kraju przydaje ostrości fakt, iż ogólne wybory do parlamentu są już,

tuż. Praktycznie rzecz biorąc, laburzyści i konserwatyści już wkroczyli do walki przedwyborczej, wciągając do niej także przeróżne małe partie.

Sytuacja w Anglii ma oczywiście szersze tło. Długotrwały wzrost przemysłowy, który zaczął się po zakończeniu II wojny światowej i trwał 20 lat, wzbudził wśród wielu ekonomistów iluzję, że kapitalizm otrząsnął się wreszcie z kryzysów. Jednakże zmiany, które nastąpiły w okresie tego wzrostu ekonomicznego, w rzeczywistości zrodziły tylko problemy, z którymi obecnie borykają się kraje kapitalistyczne, a przede wszystkim Anglia. W o-wym czasie największe brytyjskie firmy przekształciły się w wielonarodowe korporacje. A to oznacza, że nawet jeśli ich podstawowe przedsiębiorstwa znajdują się w jednym kraju, to jednak ogromną część swojej produkcji wytworzą za granicą. Zamiast eksportować swoje towary z Anglii w dotychczasowej objętości, tworzą one wewnętrzne rynki za granicą. I tak

30 największych kompanii brytyjskich produkuje poza granicami Anglii cztery razy więcej wyrobów, niż wywozi ich z własnego kraju.

Wynika z tego, iż wielonarodowe korporacje planują produkcję towarów w skali światowej, mając na względzie jedyny cel — zdobycie jak największych zysków. W konsekwencji takiej polityki wstrzymują się one od inwestycji w przemysł angielskim, co powoduje techniczne zacofanie. Dlatego też koszt własny jednostki produkcji w Anglii rośnie, co jeszcze bardziej pogłębia inflację. Co więcej, prowadzi to do sytuacji, w której towary produkcji angielskiej nie wytrzymują konkurencji z importowanymi. Wielonarodowe korporacje stworzyły ogromny nadmiar mocy produkcyjnych w skali całego świata zachodniego w takich podstawowych gałęziach przemysłu, jak hutnictwo stali, budowa statków, budowa maszyn i elektronika. Zjawisko to wystąpiło wskutek olbrzymich inwestycji lokowanych w budowie nowych przedsiębiorstw w krajach rozwijających się, gdzie bez ograniczeń można korzystać z taniej siły roboczej. Najbardziej typowe przykłady, to Południowa Korea, Tajwan i Hongkong.

Drugim czynnikiem, który pogłębił obecne problemy w Anglii, jest rewolucja naukowa techniczna. Dzięki niej nastąpiło wielokrotne zwiększenie wydajności pracy, co może doprowadzić w krajach zachodnich do katastrofalnych następstw dla ludzi pracy. Na przykład w kompanii „British Steel” eksperci opracowali dokument pod nazwą „Strategia rozwoju na najbliższe dziesięć lat”, w którym nakreślono wariant zwiększenia produkcji o 50 procent, przy jednoczesnym zmniejszeniu siły roboczej o 20 procent. Według obliczeń specjalistów rządowych, do 1985 roku angielski przemysł samochodowy będzie zdolny do zwiększenia produkcji o 50 proc., podczas gdy w jego fabrykach będzie zatrudnionych o 55 tys. robotników mniej w porównaniu z rokiem 1975.

W ten sposób nowe inwestycje techniczne mogą w zasadzie doprowadzić tylko do zmniejszenia liczby miejsc pracy i zagłady całego szeregu zawodów. Już dziś jest to jedną z przyczyn bezrobocia w Anglii, które można nazywać bezrobociem strukturalnym. Przy tym szczególnie szybko rośnie liczba bezrobotnych wśród młodzieży. 40 proc. bezrobotnych stanowią ludzie w wieku poniżej 25 lat. Kiedy przywódcy Związku Zawodowego Kolarzy dowiedzieli się, że kompania „British Shipbuilders” zamierza zwolnić ze stoczni, w której buduje się statki handlowe, 12.300 robotników, złożyli oświadczenie, iż jednym z warunków zachowania miejsc pracy jest zwiększenie liczby zamówień brytyjskiej marynarki wojennej. Takie stanowisko krytykuje ekonomiczny komentator londyńskiej „Morning Star”, uważając je za błędne. Jasne, iż kolarzom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji, można by w ten sposób zapewnić na pewien czas pracę. Ale nie jest to droga, która by prowadziła do rozwiązania tego problemu na dłuższą metę. I z tym zgadza się większość kolarzy. Po pierwsze dlatego, że okryty będą służby dalszej rozbudowie machiny wojennej w coraz większym stopniu przygotowującej się do prowadzenia wojny jądrowej, która oznaczałaby zagładę Anglii. Po drugie, zatrudnienie w przemyśle pracującym na potrzeby wojska wcale nie jest stałe, choć tak mogłoby się wydawać. Na przykład coś stanie się teraz ze wszystkimi nowymi czołgami i rakietami przeciwlotniczymi zamówionymi przez szacha Iranu? Po trzecie, produkcja broni przeszkadza podjęciu niezbędnych kroków w celu wyzignięcia Anglii, z obecnego kryzysu ekonomicznego. Wystarczy choćby wspomnieć, iż dla potrzeb przemysłu zbrojeniowego przeznaczona jest ogromna część naukowych i technicznych potencjałów Anglii. W ten sposób wiele rodzajów pokojowej produkcji traci swoją zdolność konkurencyjną.

„Z ekonomicznego punktu widzenia — pisze komentator „Morning Star” — absolutnie nie można usprawiedliwiać faktu, iż brytyjski eksport do krajów EWG jest 4-krotnie mniejszy od zachodniemieckiego, a pula dostaw z krajów EWG do Anglii jest bardzo mała. Zmniejszyła się ona z 4 proc. w 1967 roku do 2,7 proc. w 1978 r. Brytyjczy ekonomicści i postępowca część działaczy gospodarczych zwraca uwagę, iż rząd laburzystowski powinien z większą powagą odnieść się do nowych form handlu, które znajdują coraz szersze zastosowanie”. Należy wyjaśnić, dotyczy to bowiem krajów naszego obozu, iż chodzi tutaj o tzw. kompensacyjne transakcje, przy zawieraniu których kraje socjalistyczne i ich wewnętrzne organizacje handlowe otrzymują od zagranicznych dostawców urządzenia, opłacają ich wartość gotową produkcją.

Rząd nie przywiązuje większej wagi do oceny specjalistów, że wzrost ekonomiczny w Anglii uległ zahamowaniu. Laburzyści uważają, iż jest to zjawisko przejściowe, spowodowane faktem, że dochodów z 60 łaftowych na Morzu Północnym używa się nie na potrzeby przemysłu, lecz na finansowanie importu. Faktem jednak jest, że taka sytuacja prowadzi z kolei do tego, iż brytyjski przemysł staje się coraz mniej zdolny do konkurencji na rynkach światowych.

JERZY CZECH

Z PRASY

Amerika i Amerykanie mają poważne powody do niepokoju. Poziom bezrobocia waha się między 6—10 milionami ludzi. Szkoły zmniejszają liczbę przyjmowanych uczniów, a nawet są zamykane z powodu braku środków. Lecznictwo znajduje się w opłakanym stanie i dla wielu obywateli jest niedostępne. Mówi się nam, że nie ma pieniędzy na rekonstrukcję naszych miast i tworzenie miejsc pracy dla ludzi, którzy cierpią biedę i chcą pracować. Ale budżet wojskowy rośnie. Mimo przedwyborczych obietnic o redukcji wydatków na uzbrojenie o 5—7 miliardów dolarów, w budżecie prezydenta Cartera na 1979 rok finansowy Pentagon otrzymał 138 miliardów dolarów — o 9 miliardów więcej, niż miał w budżecie 1978 roku.

Twierdzi się tu i ówdzie, iż wydatki na uzbrojenia, idące w dziesiątki miliardów dolarów, są konieczne, żeby zapewnić zatrudnienie i obronę przed Związkiem Radzieckim. Nie zgadzamy się z tymi oświadczeniami. Rząd USA wyrzuci miliardów dolarów na konstruowanie broni masowej zagłady ludzi, podczas gdy nasz kraj i cały świat nie mają środków do walki z głodem, chorobami, amerykański arsenał liczy 31 tysięcy strategicznych i taktycznych główek jądrowych, co odpowiada 620 tysiącom bomb typu bomby zrzuconej na Hiroszimę. Ten arsenał powiększa się codziennie o 3 nowe bomby. Siła ogniewa USA i ZSRR razem wziętych, przewyższa dwa miliony razy siłę ogniewą wszystkich armii-uczestników II wojny światowej. Połowa wszystkich amerykańskich uczonych i inżynierów jest powiązana ze sferą wojskową. W 1976 roku USA wydatkowały — licząc na głowę ludności — 418 dolarów na cele wojskowe i zaledwie 32 dolary na naukę. Jedna nowa łódź podwodna typu „Trident” będzie kosztować mniej więcej 1,7 miliarda dolarów — suma wystarczająca do zapewnienia mieszkań 500 tys. obywateli USA.

Wyniki badań opublikowane przez senatora Edwarda Kennedy'ego wskazują, iż 138 miliardów dolarów przeznaczonych na cele wojskowe skoncentrowano w kapitałochłonnych gałęziach przemysłu, a to oznacza, że gdyby je ulokować w społecznej produkcji, zatrudnienie zwiększyłoby się o 1,485 tys. miejsc pracy. Wzrost asygnacji wojskowych zwiększa bezrobocie i umacnia inflację. Także wielu wojskowych ekspertów zgadza się z tym, że 50 gigantyczny budżet wojskowy można obciąć o 30 miliardów i ani trochę nie stracił na tym obrona kraju. Z faktów tych wynika, że wojskowość USA są oburzająco rożdatę. Dlaczego więc nie przestają odpowiadać na to, że działacze którzy ponoszą najbardziej bezpośrednią odpowiedzialność za wydatki wojskowe, są zainteresowani w rozkręcaniu wojskowej machiny. Potęga Pentagonu i wojskowo-przemysłowych korporacji wyszły daleko poza granice realnych potrzeb naszej obrony.

Przeżyliśmy nader krytyczny moment w naszej historii. Są dwie drogi. Jedną prowadzi do jeszcze bardziej kosztownych i przerażających systemów broni, do zwiększenia nędzy, głodu, chorób, do realnej możliwości wojny jądrowej. Druga — do wzajemnego zrozumienia, rozbrojenia i stwarzania możliwości zbudowania lepszego życia dla całej ludzkości.

„New York Times” — Nowy Jork

W. ŚLAWSKI

„Wszystkie siły dla obrony socjalistycznej ojczyzny przed agresorami chińskimi”.

Charakterystyczne, że chińskie środki masowego przekazu dotąd nie podały żadnych informacji o działaniach zbrojnych na terytorium Wietnamu, utrzymując naród w całkowitej nieświadomości. Zabroniono pod najostrejszymi karami wywieszania jakichkolwiek gazetek wielkich hieroglifów i słuchania rozgłośni zagranicznych. Władze lokalne, co więcej, otrzymały zakaz udzielania odpowiedzi na pytania, dotyczące działań wojennych. Wszystko to — zdaniem obserwatorów —

KRONIKA TYGODNIA

wskazuje na obawę władz przed reakcją chińskiego społeczeństwa.

Podjęty przez Pekin akt agresji wobec Socjalistycznej Republiki Wietnamu jest tak niepopularny na świecie, że nawet w tych krajach rozwijających się, które dotychczas sympatyzowały z Chinami, podnoszą się głosy protestu. — Pekin — przeczytaliśmy w którejś z gazet zachodnich — nie na swej agresywności nie może zyskać, a wiele stracić. Małe to jednak pocieszenie, zwłaszcza w porównaniu z zagrożeniem ogólniejszym, jakie z chińskiego militarystyki wynika.

Z Dalekiego Wschodu i Azji Południowo-Wschodniej przewijamy teraz na Bliski Wschód, a ściślej podejmiemy temat bliższego Wschodu. Z dała bowiem od rejonu konfliktu — w Camp David rozpoczęły się negocjacje amerykańsko-

egipsko-izraelskie, które dotyczą zawarcia dwustronnego traktatu pokojowego między Egiptem i Izraelem. O historii tych rokowań, przebiegu słynnego „szczytu” i impasie, jaki potem nastąpił, pisaliśmy zbyt często, aby do tematu w takim ujęciu powracać. Teraz głównym celem trójstronnej dyskusji jest przełamanie przeszłości które na drodze owemu separatystycznemu układowi stanęły. Optymiści twierdzą że będzie to możliwe w obecnej rundzie rokowań lub ewentualnie w czasie drugiego „szczytu”, pesymiści natomiast w ogóle nie widzą możliwości przełomu, zważywszy sytuację Egiptu w świecie arabskim. Ale Waszyngton wciąż ma nadzieję, administracja Cartera stawia sprawę prestiżowo i obawia się o następstwa fiaska w swej kampanii wyborczej. Elementem nowym w całej sprawie są zmiany polityczne w Iranie i poparcie obecnej ekipy dla Palestyńczyków. Spektakularnym tego przejawem było entuzjastyczne powitanie, jakie w ub. tygodniu zgottowano w Teheranie przywódcy OWP — Arafatowi.

Jak w tej sytuacji znajdują się Stany Zjednoczone? Przecież, co wykazywaliśmy na tym miejscu, Waszyngton nie może sobie pozwolić na zlekceważenie Iranu. Czy wobec tego zwiększy swój nacisk na Izrael, aby sprawa palestyńska została rozwiązana? Egipt podobno gotów jest zastąpić Iran w „charakterze żandarma Bliskiego Wschodu” w zamian za dużą pomoc gospodarczą i wojskową USA oraz w zamian za „uelastycznienie” stanowiska Tel Awiwu. Z tych więc wszystkich powodów rozmowy w Camp David znalazły się w orbicie zainteresowania. Raz jeszcze podkreślmy — w opiniach przeważa sceptycyzm co do możliwości przewyciężenia długo już trwającego impasu.

Niebezpieczne militarne prowokacje ze strony Chin na granicy z Wietnamem przelotczyły się w zbrojną agresję. Jak widac — spadkobiercy Mao Tse-tunga nie odstąpili od zamiaru pograżenia świata w wojnie. Z pewnością celu nie osiągną, ale Wietnam znów musi stawiać czoła obecnej interwencji. Historia nie szczędzi narodowi wietnamskiemu trudnych doświadczeń: najpierw walka z kolonizatorami francuskimi, potem agresją Stanów Zjednoczonych, a teraz znów — w krótkim czasie po zjednoczeniu narodu i proklamowaniu Socjalistycznej Republiki Wietnamu — do otwartych działań przystąpiły Chiny. Piszący: otwartych, gdyż prowokacje i starcia graniczne z Kambodżą w czasie, gdy jeszcze utrzymywał się reżim Pol Pota, oczywiście także powodowane były przez Pekin.

Co może najbardziej niepokoić? Lekko-myślność i nieodpowiedzialność Maoistów, którzy tą zbrojną akcją rzucają wyzwanie całej ludzkości. Przez świat przechodzi więc fala potępienia awanturnictwa Pekinu, który zdecydował się na pogwałcenie wszelkich norm prawa międzynarodowego.

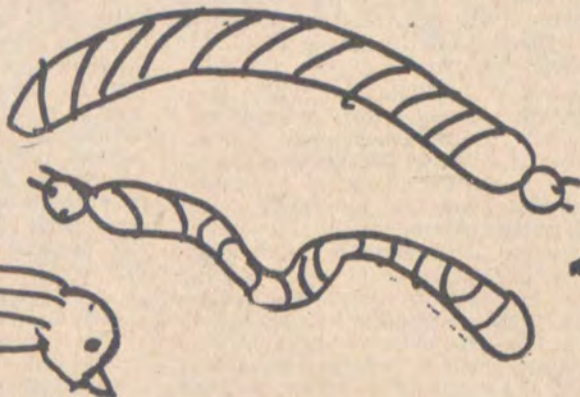
Nie tylko społeczeństwa, ale również liczne kółka rządowe na Zachodzie dostrzegają w tej agresji poważne niebezpieczeństwa. Słusznie wysuwa się wniosek, że wobec takiej nieodpowiedzialności, jaką wykazali następcy Mao, nie powinno się im sprzedawać sprzętu wojskowego. W W. Brytanii np. mnożą się głosy przeciwko dostawie dla Pekinu myśliwców bombardujących typu „Harrier”. Żądano, aby sprawa ta zdjęta została z porządku dziennego rozmów brytyjsko-chińskich.

Wietnam skutecznie odpięra napaść. Komunikaty z Hanoi donoszą o okrążeniu oddziałów chińskich i skutecznym przejściu na wielu odcinkach do kontrnatarcia. Zdobyto już dziesiątki czołgów i opancerzonych transporterów chińskich. W całym kraju rozbrzmiewa hasło:



JEŻ NAZWANY TUPTUS

Nazwano jeża Tuptusa ponieważ tupie, a Porządkiewicz, ponieważ tupie w czasie porządków. Te robi nocą. Fuka ponadto w trakcie tupania, fukając chyba narzekając, że ma tyle roboty, ale wytrwale znosi śmieci w miejscach sobie tylko wiadomych. Dzieci czwartej grupy, które znalazły jeża, nawet specjalnie rzucają mu pod łóżko szyszki, papierki lub patyki, a rannikiem zagładają, czy Tuptus posprzątał. Jeż czuje się chyba potrzebny, bo nigdy nie wyszedł dalej przez otwartą drzwi niż na werandę domu. Owszem wczoraj podejrzewano, że udał się gdzieś dalej. Kiedy wszyscy wrócili z całonocnej wycieczki, jeża nie było. Wzłano, krzyczano, oblać mleko i mięso, bo te lubił najbardziej, ale jeż się nie zgłaszał. Po kolacji kolonijny grubasek Krzysio sięgnął ukradkiem pod łóżko. Wyciągnął pacz-



KUNDEL

Kiedy pani Maria otworzyła drzwi, zobaczyła, że na wycieraczkę obok Dropsa siedzi drugi kundel. Laclaty, kosmaty z wąsami i brwiami, tak wielorasowy, że aż piękny. Drops puścił go przodem. To znaczy kundel gość zapewne młodsz i o parę dni głodniejszy wpadł do mieszkania szybciej, ale wyglądało to, jakby Drops puścił go przodem. Potem pozwolił jeść ze swojej miski, co bardzo zdziwiło właścicieli psa. Po uczcie kundel-przybysz drapał drzwi i piszczał oznajmiając tym chęć zakończenia wizyty.

CHOMIK

Widzisz kradzieju, teraz będziesz musiał kupić sobie okulary — powiedziała żona do chomika. Ten stał na pszenicy w torbie foliowej i mocno turlał oczy odwrotną stroną łapek. Nie skutkowało. Półprzeźroczysta ściana rozważała obraz świata.



Był bardzo tym zajęty. Spokojnie podnieśliśmy ścianki torebki, aby mu się przyjrzeć. Wczoraj zjadł herbatniki. Wywnosił po jednym w przednich łapkach kołysząc się na tylnych, nie przywykłych do ciężaru brzuszka w pozycji pionowej. Początkowo bał się szeleszczącego celofanu, ale potem już szło dobrze.

WIEWIÓRKA

Dziewczynka nachyliła się nad trawnikiem sanatoryjnego parku. Przykuca, prawie że kłeka. W otwartej dłoni trzyma kruche ciastko. Wiewiórka dostrzeże je i w paru susach jest tuż obok, ale pozostaje jeszcze ta odległość zaufania. Dziewczynka zwołutkuje podsuwa dłoń. Kolana stykają się z brodą, plecy zakrakają, a w kształt muszli. Jedną ręką wyciągniętą jest w bok dla równowagi, druga do przodu, lekko drży. Ciało zwierzątka natomiast wyduża się. Tylnie nogi pozostają w miejscu, a przednie wysuwają tułów do przodu jak jakaś marynarska luneta. Odległość zaufania zmniejsza się, a wiewiórka chudnie tak, że dziewczynka dostrzeże pod lewą łopatką drgającą rytmicznie sierść. I zdaje się jej, że słyszy stukot, a potem coraz mocniejsze uderzenia, które rozrywają skronie. Wyprostowuje się nagle i szybko chwytając powietrze jak do krzyku otwartymi ustami.

— Panienko, niech panienka nie robi takich nerwowych ruchów, bo wiewiórki to mają słabe serca, naprawdę, one mają słabe serca — woła stojący nie opodal ogrodnik. Dziewczynka kładzie delikatnie ciastko tam, gdzie przed chwilą stała wiewiórka i bardzo powoli odchodzi.

PUSIO — ZWIERZĄTKO WYJĄTKOWE

Na moje zwierzątko futerkowe wołam Pusio. A to dlatego, że gdy jest zagłębione, zle lub obrażone, to ściga usta i pęcznia mu, a właściwie jej, policzki. Tak jak przy wymawianiu zgłoski „p” przez dzieci, które wzięły do buzi garść połamanej bez pozwolenia. Pusio podobnie robi też wówczas, gdy ma powieździć moje imię. To trwa krócej i łagodniej, jako że moje imię zaczyna się od zmiękczonej zgłoski P, czyli pi.

Tak naprawdę, to zwierzątko futerkowe, skrzydełkowe i inne wymyśla ona. Na dowód dodam, że przypisuje mi podobieństwo do hipoopotama. Szczególnie wtedy, kiedy ziewam, a spać lubię i to bardzo.



Rys. Kamila K. lat 9

GOŁĄBKA

Wiatr trzasnął otwartym oknem. Szyba zewnętrzna wyleciała od razu, wewnętrzna — po chwili. Potem były święta, wolna sobota, a pan Albin — konserwator urzędu — zachorował.

Na okiennej ramie, tuż przy murze, gołąbka uwiła gniazdo. Kiedy wszyscy przybyli do pracy, przyszła matka już wysiadła. I tak było przez następne dni. Urzędnicy weale jej nie przeszkadzali, ani nawet elektryczna maszyna. Nie przestraszyła się także błysku flesza aparatu pewnego reportera pewnej gazety. W pokoju podjęto odpowiednie środki. Szafy należało otwierać tak, by nie trzaskały, drzwi zamykać tak, by nie było przeciągu, mówić cicho. Zaszło także szereg zmian. Pani Lilka przestała gwizdać, pani Eleonora pogodziła się telefonicznie z mężem, panna Zofia rzuciła paleństwo. Stary kawaler pan Stasio stał się bardzo uprzejmy, dla wszystkich. Sprawy zalał wylądowanie pozytywnie i od ręki. A kiedy wpinał kopie w segregator, lub miał chwilę wolną, powtarzał po częstokroć, że trzeba się spieszyć, trzeba bardzo się spieszyć...

BAMBI — SETER IRLANDZKI

Bambi obudził się i stanął na łóżku. Adasia w nim znowu nie było. Pies spojrzął dokoła, po czym przyłożył swój nos setera irlandzkiego do przesłania i tropiąc dotarł wprowadzić niedaleko, bo na skraj łóżka, ale skutecznie jeżeli chodzi o cel poszukiwań. Przed łóżkiem bowiem leżał Adaś. Spał na dywaniku. W tej chwili do pokoju weszła pani, a mama chłopca. Na psa spadły chlaszące klap-

PIOTR SŁOWIKOWSKI

Zwierzątko futerkowe, skrzydełkowe i in.

kę, w której ukrywał domowe łakocie i pyszności, zawsze zjadane w zakamarkach między świetlicą a schodami „na górę”. Kiedy jednak Krzysio otworzył wielko paczkę jęknął i zapłakał, a potem rozszlochął się na dobre. Wśród napoczętych czekolad, brutalnie rozerwanej bombonierki, wśród nadgryzionych jabłek i banana, z pyszkiem w mamusinym keksie spał już Tuptus. Spał mocno — snem uczciwym jeża spracowanego, ale jakże sytego.

BIEDRONKI

Kiedy znaleźliśmy je na szybie, była już zima. Dreptały tak, że w idealnej ciszy słyszało się ich tupanie. Latem spotkać biedronkę — to prosta sprawa. Nawet w stogu siana. Ale zimą? Było im tu ciepło. Zgodziłam się, ale najcieplej za piecem, chociaż go nie mamy. Na tafli szyby natomiast z pewnością wiał im od nozka, zaś rozgrzane powietrze przesuwano się monotonnie zawsze w jednym kierunku od kaloryfera do sufitu, czyli w bok dla biedronek. Gdzieś tam przy ramie wydubaliśmy kąt. Żeby miały takie zatoczki, ale one bały się tych miejsc. Owszem, uciekały przed pieszczotami po szybie paluchami, nigdy jednak do zatoki.

Chyba się kochają — powiedziała żona odkręcając kaloryfer na całość — ta wyżej to Julia, a większy to Romeo. Odwiedziliśmy je codziennie. Pewnego razu zauważyłam także, że żona coś im opowiada. Nie zapytałam się co, ponieważ byliśmy w stanie wojny o trzykrotnie solone kartofle. Przed świętami postanowiliśmy umyć okna. Wymoszczone watą pudełko od zapalek postawiłem prostopadłe do płaszczyzny szyby. Żona miała zepchnąć w nie biedronki. Odpady

DŹDŻOWNICE

Ojciec narzekał, że od paru dni nie bierze. Wszystkiemu winne te robaczki, czyli dżdżownice, czyli ich brak. Taka susza, że nie wylażą. Kopać trudno, ziemia aż spiekana i jak kamień. Na ciasto i pszonnicę też nie bierze.

Postanowili z bratem wydobyc robaczki choćby i spod tej ziemi. Brat wziął łopatę, tata puszkę metalową z dziurkami wybitymi gwoździem i chlebak. W nim jedzenie i to coś, o czym, gdy mówili, mrugał dziwnie w stronę brata. Wieczór był dla nich pomyślny. Tym bardziej, że spadła krótka ulewa, którą przeczekali pod drzewem, siedząc tam nawet wtedy, kiedy przestało padać. Po deszczu dżdżownice wylażyły. Nie więc dziwnego, że przynieśli ich całą puszkę. Tylko rano okazało się, że jest pusta. Nie, weale ich nie wyrzuciłem — tłumaczył ojciec — chyba same wyszły. Po parapecie i po antenie. I to wtedy, gdy śniły mi się mosiężne drzwi usłany dywanami, dźwięk fletu i zaklinacz węzów, oczywiście w turbanie.



8 ODGŁOSY

BARBARA J. DUSZA

KOT

Rita biera pomarańczę. Mruży coś niecenzuralnego o tępych nożach. Za oknami słotne popołudnie. Patrząc na mięsiste, wilgotne lupiny spadające na rozłożony, jaskrawo ilustrowany tygodnik.

— Wyskocz po fajki — mówię i sięgam po parasolkę. Rita patrzy na mnie. Mój wzrok skacze po kątach. Jej nadchodzące macierzyństwo jest już widoczne. Rita wyczuwa moje skrzepowanie.

— Nie moknij za długo. Idę niemal pustą aleją. Myślę o Ricie sprzed dwóch lat. Studentce zagrzebanej w betach, skryptach i notatkach, wkuwającej odporne wzory. Wydaje mi się, że za mąż wyszła bez wielkiej miłości. Ceniła mężczyzn rozgarniętych, gospodarnych, zaradnych. Jeśli patrzeć z tego punktu widzenia, jej małżeństwo z Jurkiem było niewątpliwie udane. Półtora roku po ślubie mieli już sa-
nachód.

Przestało padać. Drzewa ociekały jeszcze wodą. Czulałam, jak ciężkie, zimne krople przebijają sweter i ziębią plecy. Właśnie wtedy zobaczyłam siebie na dnie kaluży, z głową w burchach chmurach — odwróconą, groteskową, śmieszna. Zaskoczenie było zupełne. Odruchowo sięgnęłam do kieszeni. Natrafiałam na przechany bilecik. Wyjęłam go, zwinęłam w twardą kulkę i rzuciłam. Poczekałam, aż koło fali zlamie obraz, dopiero odszedłam.

Wrażenie absurdalności i śmieszności pozostało. Zaczęła się odwijać taśma pamięci. Szkolnictwo porzucałam bez żalu, przekonana o niemożności udowodnienia tam czegokolwiek. Prawda ma wiele twarzy, każdy nakłada najodpowiedniejszą dla siebie maskę. Więc spakowałam majątek w walizkę i wsiadłam w autobus. A przechany bilecik wrzuciłam do kaluży.

Rita była zaskoczona. Uważała mnie za osobę zaradną. Starała się nie okazywać swojej dezaprobaty i czulałam, że czeka na wyjaśnienia.

— Nie było się o co bić. Prawdą żyć nie będę na tej zabitej deskami wsi.

— Ale ktoś by przyjechał... — przedemną zdarzało się to wiele razy. Przyjeżdżali i odjeżdżali... a za trzy dni było to samo.

Wiedziałałam, że Rita nie rozumie. Nic dziwnego przy jej pewnością siebie, zamiłowaniu do porządku, tadu i hierarchii wreszcie powodzeniu, które ją sobie chyba upodobało. Po prostu nie ją jeszcze nie uderzyło po łapach. Byłam zła na siebie, że się wygadałam. Rita pewnie pomyśli, że szukam jej pomocy. Zawsze wszystkim próbowała pomagać, radzić, coś zrobić, nawet gdy to było bezsensowne. Była uosobieniem matkowania. Czasem te aż denerwowała.

— Jurek ma trochę znajomych i coś ci na pewno znajdzie — zadecydowała.

Nova praca zapowiadała się ciekawie. Włóczęga po terenie, co dzień nowi ludzie. Szacowanie strat po powodzi, gradobiciu i innych kłopotach żywiołowych. Jurek znalazł mi mieszkanie, i chociaż ciasne, byłam zadowolona. Cóż tam miałam wstawieć? Pan Miecio mierzył, ja notowałam. Żał mi było zniszczonej zbóż, wymłóconych całkowicie przez grad, polamanych, umiędronionych ulewa, z trudem wyrosłych na martwej ziemi. Kiekieć to przezwannie piachy, rdziny i bielice. Mnóstwo kamieni i tytoń, który rośnie tam na chłopa. Tytoniowy brud jest lepki, czarny, trudny do zmycia niczym smoła.

Szacunki wypadły różnie. Nie dostrzegaliśmy w tym niczego dziwnego. Dopiero, gdy otrząskaliśmy się z pracą, zaczęłam o tym myśleć. Pan Miecio lubił dobrze jeść, wypić i zasumieć. Naturalnie, gdy miał za co. A wyglądała na to, że miał. Wkrótce okazało się, że bierze, ile się daje. Jego cwaniactwo zaczynało w końcu drażnić.

Pod koniec czerwca zajrzałam do swego nowego mieszkania. Zaczynałam sprzątać, gdy wszedł Jurek. Był na gazie. Nie lubię pijanych mężczyzn, ale wobec niego miałam zobowiązania.

— Jak się urządziłaś?

Cierpliwie patrzyłam, jak ogląda każdy kąt, obraz na ścianie, kwiaty na oknie. Krytykuje, radzi, chwali. Chwieje się. Nie brak mu tupetu.

— Jak się sprawuje Miecio? — uśmiecha się znacząco.

— Dobrze, chociaż nie lubię takich typów.

— Jakich?

— Przecież go znał — żaluję, że go wpuściłam.

— Wolalabys sama?

— Nie odpowiadam. Idę parzyć kawę.

— Jak Rita? — rozbijam krepujące milczenie.

— Jest w szpitalu, coś z nerkami. A ja siedzę w domu sam.

— Odwiedziłabys mnie kiedy? Mam dobry koniak.

Wyczuwam jego podniecenie.

— Nie lubię koniaków.

— Muszę go wypić, zanim ona się wykoci...

Wulgarny zwrot obraza i wywołuje odległe skojarzenia. To raczej on ma w sobie coś kociego, bezwzględnie i groźnego, coś z kota. Milczę, zaskoczona trafnością tego porównania. Bulgoce woda w czajniku. Wycieram mokre szklanki. W lusterku na ścianie widzę, jak powoli wstaje z krzesła i ściga w dół przęcając się męskość.

Kawa jest pachnąca i gorąca. Za ścianą gospodyni klnie od najgorszych, na podpiętego męża. Awantura przechodzi w stadium podbramkowe. Jurek jest wściekły. Uchylam się od jego zionących wódką ust i zatrząskują drzwi. Słyszę, jak szybko zbiega po schodach. Czuję niepokój o jutro zależne od tego czyniwanego mężczyzny. Wstręt to żadna broń. Chcę być w porządku wobec Rity. Mimo że czas robi swoje, coś jednak z tych studenckich lat pozostało, jakaś nić sympatii, solidarności. Może jak przyjdzie ze szpitala, sytuacja wróci do normy. A przynajmniej będzie go krótko trzymać.

Nie wiem, czy ta wizyta miała jakiś związek z następnym zajściem. Za trzy dni przyjechali panowie na Inspekcję i pan Miecio musiał iść z nimi na najwyższe oszacowane plantacje. Denerwowałam się myśląc o tych kominach szacunkowych, na sąsiednich nieraz poletkach. Pan Miecio był spokojny. Szacunki były wykonane prawidłowo i komisja pojechała.

Do północy myślałam o tej dziwnej kontroli. A gdy wreszcie zrozumiałam grę Miecicia, zaskoczyła mnie jej prostota. W tym interesie trzeszczy chłopaka skóra. Kto da, ten dostanie tyle, ile mu się należy, kto nie da, ten — naturalnie mniej. Pan Miecicio umie zarobić. Leżałam w ciemnościach, w pustym obym pokoju, na nieznaną, zagubioną w nadrzecznych bagnach wsi. Zaczęłam płakać. Skrzyżowały niemilo sprężyny żelaznego łożka. Odezwały się już koguty. Ja jeszcze płakałam. Chciałam wypłakać swoją miękkość i brak sprytu na właściwe ustalenie się w życiu. Płakałam nad bezsensownym swego życia, nad szarością tych dwudziestu pięciu lat. Co ja użyłam? Nic. Brak mi pierwotnych instynktów w walce o utrzymanie się na powierzchni. Je-

stem bezradna, wszystko biorę zbyt poważnie, gdy trzeba się śmiać, tylko śmiać, bo śmiech jest narzędziem samoobrony, formą przetrwania.

O świtanu usnęłam snem kamiennym i spałam do południa. Wiatr zaczął deszczem o szyby i nie chciało się wstawać z łóżka. Zapaliłam papierosa i usiłowałam sobie przypomnieć, jaki jest dzień tygodnia. Jeśli sobota, to co ja tu jeszcze robię?

Obiad zjadłam w barze. Wieczór postanowiłam przeznaczyć na „dokulturalnienie”, po dwa tygodniach łażenia po polach. Oczywiście pójdę do kina. Przebrałam się właśnie, gdy rozległo się głośne pukanie i prawie jednocześnie drzwi się szeroko otworzyły. Zobaczyłam Jurka. Znowu był wstawiony.

— Przyszedłem ponownie zaproszenie na koniak.

— Nie piję koniaków. Zresztą wychodzę.

Byłam wściekła, skrepowana tą wizytą nie w porę. A ponieważ był na gazie, postanowiłam potraktować go bezceremonialnie „słuchaj, koniak do jutra nie wyparuje...”, ale mnie uprzedzi!

— Mam syna.
To było dobre zagranie. Milczałam.
— Trzeba go oblać, żeby się dobrze chował.
— Gratulacje... Kiedy? — bąknęłam nijako.
— Wczoraj. Do mnie podobny.

Obrzydliwy, próżny kogut. Jak on się uśmiecha! Wyczuł mój chłód, bo zaczął zupełnie innym tonem:
— Mój kolega jest dyrektorem fabryki koszuł. Ma wolny etat ekonomisty. Gdyby ci odpowiadał, to możesz z nim porozmawiać. Za pół godziny będzie u mnie — dodał spoglądając na zegarek.
— Jestem tu swoim wozem, więc zdamy.

Propozycja była ogromnie niecna. Perspektywa tak intratnej pracy w przemyśle, w dużym mieście, jest silnym magnesem dla kogoś, kto sobie posiadział na wsi, na byle posiadce. Tylko, że nie chciałam tego od Jurka. Wolałam nie powiększać swoich zobowiązań. Za nie ma nic. Dostrzegł moje wahanie. Jego błyszczące kocie oczy nie opuszczały mojej twarzy. Nie tylko ten wzrok upodobał mi się do kota. Znałam go już dobrze. Miał przymilny uśmiech i bezwzględna, drapieżną naturę oraz wiele cierpliwości — potrafił czekać. Milczał. Był świetnym graczem, wiedział, że jedno słowo zachęty z jego strony wywoła mój sprzeciw. Po prostu odmówię. Nie był wcale taki pijany, jak mi się to początkowo wydawało. Cóż miałam robić. Sięgnęłam po płaszcz. A więc postawił na swoim! W jego oczach mignęła iskierka triumfu. Dostrzegłam ją jednak, zanim zgasła.

Dyrektor fabryki koszuł był przyjemnym, gustownie ubranym czterdziestolatkiem. Przypominał Jurka, lecz nie potrafiłam sprzeczyć, czym. Może dlatego czułam do niego bezpodstawną zupełnie niechęć, której nie mogły rozmyć kolejne kieliszki koniaku. Podobala mi się koszula dyrektora, w kolorową kratę na białym tle, która była jedną chyba ładną rzeczą widzianą tego niedużego, deszczowego dnia. Wyglądała śmiesznie, zapatrzoną w tę koszulę, jakby ona była ważniejsza od innych, pozytywnie zalażwionych przy tym stole spraw. Powinnam się przeciwieć cięszc. Takie stanowisko!

Pilam. Widziałam stół i tamtych dwóch pod różnymi kątami. „Dziwne, że to wszystko nie pozostaje razem z tym obrusem — medytowałam z pijacką logiką. — Zresztą, to wszystko gówno. I Jurek też, i tamten. Gówno było, jest i będzie”. Usiłowałam nie patrzeć na stół. Dźwignęłam wzrok i zobaczyłam swoją twarz, wydłużoną i absurdalnie poważną. Wybuchnęłam śmiechem do łustr. Oni też się śmiali, chociaż nie wiedzieli z czego. A ja chwiałam się, dawałam tym śmiechem, aż straciłam talerz ze stołu i resztki salatek z kawalkami porcelany pokryły dywan.

— Kota! — chciałam, żeby wpuszcili kota, żeby to zjadł, ale oni nie rozumieli. Inteligentni i kulturalni. Stale zajęci myśleniem o sobie, grzechnie zmieniający temat lub obracający rzecz w żart. Jurek zbierał skorupy. Jak on śmiesznie wygląda! Gdyby tu była Rita, to on by to lizał. Bubek. Kocur.

— Miau! — i znów zaczęłam się śmiać. — Miau! — próbowałam po marcowemu. Śmiałyśmy się wszyscy. Aż zobaczyłam przed sobą uśmiechniętą twarz dyrektora, a potem już go nie widziałam. Jurka też nie było. Gdy się wrzeszcze zjawili, wiedziałam już, że tamten wyszedł.

Wlokłam się pustymi o świecie ulicami, jak zbity, beznadziejny pies...

Siedziałam w szoferce i czekałam na kierowcę, który zalażwiał coś tam jeszcze w biurze, patrzyłam na znany od miesiąca plac fabryczny. W rozjeżdżonej kostce miejscami powybijaly się dziury, w które spływała woda po porannym deszczu. W kąciku, za magazynem zlewniała się fiaska po winie. Dwa robotnicy w złotych kaskach sprzeciali się, kinąc na przemian. Zdążyłam się już przyzwyczaić do szumu pracujących maszyn. Mimo opuszczonych szyb szoferki wydawało mi się, że jest tu zupełnie cicho. Sięgnęłam do kieszeni po papierosy i znalazłam bilet. Przejchany bilet.

Tak. Ostatnio wiele wyjeżdżałam. Spotykaliśmy się w różnych miejscach. Rita o tym chyba nie wiedziała. Mnie zresztą na tym nie zależało, ale on się krył. Cokolwiek by o mnie nie powiedziano, byłoby to prawdą. Tak. Przecież latałam za nim, przyjeżdżałam na każde kiwnięcie. Dopadaliśmy się w moim łóżku, na podłodze, w życie i parę metrów od szosy na ściółce leśnej. Walczyliśmy jak zdziczałe, głodne koty. Miało się skończyć w tamtą noc, a tu ciągle trwa. Nie zaboli mnie już żadna obelga, nie mam dość siły, by to przetrwać. Nie biorę od niego nic. Chcę tylko jego samego, zleniawionego i pożądanego.

Obejrzałam przejechany bilet. Powoli, dokładnie zgniotłam go w kulke i machinalnie wyrzuciłam nad opuszczoną szybą. Kulka wpadła do kałuży. Natychmiast zacisnęły się na niej biegnące obręcze fali. W drugiej kieszeni były jeszcze dwa bilety. Za chwilę i one kołysały się na wodzie. W spodniach też było parę biletów, kilka w torebce. Wszędzie przejechane bilety. Tylko bilety. W różnych kierunkach. Jakby ziemia parzyła; za ciasną by pomieścić oglupiałych i opętanych żądami ludzi. Jakby możliwe były ucieczka i powrót, i nowe, odmienione życie. Zmiałam pozostałe, przejechane bilety i wyrzuciłam śladem tamtych trzech. Nadszedł kierowca i ruszyliśmy.

Przedzieraliśmy się przez Góry Świętokrzyskie mokrymi, wąskimi i krętymi szosami. Braliśmy ostre, niebezpieczne zakręty. Za oknami przesuwały się łagodne zbocza, odkryte zielonym płaszczem lasów szpilkowych, z ukrytymi gdzieś kęsy piachetkami rdzawych, kamiennych półek. Trasa ciężka, pełna wspinaczek i zjazdów na lew, na szyję.

Przed nami kolejny zakręt. Teraz drapiemy się pod górę. Zza góry wylania się star z przyczepą. Pędzi ku nam z dużą prędkością. Jest już bardzo blisko, zaledwie kilka metrów. Nagle przyczepa wyskakuje do przodu, a samochód zaruca na drugą stronę jezdni. Widzimy jeszcze, jak ta przyczepa wpada do rowu. uderza w ogromne, sędziwe drzewo, rozbiła się z trzaskiem, a przyma białej cegły zwała się w nieladzie do rowu. Wiemy, że to, co się za chwilę stanie, jest nieuniknione. Nie można temu zapobiec. Nie ma już czasu. Prędkość za duża i odległość za mała. Szosa za ciasna i jak na złość obrzeżona rowami. Wreszcie te potężne, gęsto stojące drzewa. Żeby tylko nie zostać kaleką! To już koniec — ostatnia myśl, jasna i precyzyjna. I zdziwienie: — Więc to jest tak? Wszystko kończy się tak szybko i tak gwałtownie? Za chwilę będzie po mnie i po wszystkim. Nie mam zału do tamtego. Przecież to nie jego wina, że odczepiła mu się ta przyczepa. Przypadek. Złowrogi żart losu. Zimno mi. Patrzę przed siebie i tylko ręce wyciągam do przodu, ukosnie w górę, gestem obrony i rozpacz. Rozlega się głuchy stuk i chrząst giętych blach, ręce cofają się pod potężnym naporem. Gaśnie silnik. Ból zaczyna się w nodze, rozchodzi kłóście, narasta, potwornieje. Na rzesach osiada mrok i ciało spada w próżnię.

Nie słyszę swojego jęku, gdy sanitariusze spieszenie wyciągają mnie z rozbitej szoferki. Ostrożnie przestępują zabitego tamtego kierowcę i kierują się do otwartej karetki. Moja bezwładna ręka skacze po strząskanych deskach przyczepy, jakby szukała punktu zaczepienia, jakby chciała tu zostać na zawsze. Przygodni obserwatorzy odwracają oczy. Unikają widoku krwi i okaleczonych ciał obu zabitych. Powoli odchodzą do swoich samochodów, by ogłuszyć się warkotem silnika, zabić tę ciszę śmierci i melanchoijny szum lasów.

Jaś Jedynek niezbyt dobrze czuje się w dzisiejszym świecie, chociaż dla niego pracuje. Takich, jak Jaś Jedynek jest dzisiaj niewielu. Nie wiem, czy znalazł się jeden na wieś. Może dwóch na gminę. Jaś Jedynek to wyrobnik wiejski i stuga w jednej osobie. Żyje od dzieciństwa przy rodzinie, która go przygarnęła. Pracuje na tej rodzinie. Nie pobiera pensji, bo wszystko, co mu jest potrzebne do życia, otrzymuje: ubranie, wyżywienie, lekarza. Jest traktowany jak członek rodziny. Nikt nie zamyka przed nim śpiżarni. Oczywiście, jest pewna różnica pomiędzy nim, a innymi członkami rodziny. Jaś, to po prostu Jaś. Jaś nigdy nie będzie miał tych samych praw, co gospodarz. Jaś niechętnie zasiada przy wspólnym stole. Nie dlatego, żeby mu wzbraniało. Przywykł do swojego kąta i tam się najlepiej czuje. Jaś nie ukończył szkoły podstawowej. Nie opanował sztuki czytania i pisania. Nie szło mu to do głowy. Kiedy go pytano, w którym jesteś oddziale, odpowiadał: w tem samem. Dziwi się, kiedy mu się powiada, że to rzeki wpadają do morza.

Gdyby na tym poprzestał, obraz Jasia byłby krzywdzący. Dusza Jasia jest o wiele bogatsza. Jaś posiada dużą wiedzę rol-

TADEUSZ PAPIER

O JASIU JEDYNAKU

niczą. Zna się na uprawie roli. Pod tym względem na Jasiu można polegać. Na jego głowie są krowy, konie, świnie. On jest głównym karmicielem zwierząt. Opiekuje się nimi, kiedy są zdrowe i kiedy zachorują. Jaś zna całą wieś, każde dziecko, nie, co się dzieje we wsi, nie ujdzie jego uwagi. Wstaje bardzo rano, razem z żoną gospodarza i aż do nocy krząta się po oborze. Rzadko kiedy odpoczywa. Jaś nie wyżyby w mieście. Gdyby mu nawet zapewniono najlepsze warunki, mieszkanie, obsługę i wszystko, uciekłyby na wieś. Jaś choruje, kiedy nie ma pracy. Przywykł do niej, potrzebna mu jest jak powietrze. Oczywiście, Jaś bywa zmęczony, nie jest też zdrowy, dolega mu to i owo, ponadto od dzieciństwa utyka na jedną nogę, dokuczają mu reumatyzm, musi się czasem poróżić do łóżka, ale nie na długo, bo zaraz się zrywa i idzie na pole. Jaś jest bardzo wrażliwy. Nie może znieść placu dziecka. Pod jego okiem wychowały się wnuczki gospodarza, a teraz prawnučka. Kiedy dziecku coś dolega i płacze, Jaś ucieka do stajni i także płacze. Kiedy wnuczki gospodarza wyjeżdżają do miasta, Jaś przez kilka dni chodzący osowił. Jaś wrócił w to rodzinę, należy do niej, jak gałąź do drzewa, odciąbać gałąź, nie będzie żyła. Gospodyni traktuje, jak matkę, choć jest o niej niewiele młodszy. Mówi na nią „ciotka”. Wykłada się nieraz z nią, ale kiedy ciotka wyjeżdża do miasta odwiedzić córkę i wnuczki, Jaś nie może sobie dać rady. Upomina ją, tylko przyjeżdżcie szybko. Pod pewnymi względami Jaś Jedynek przypomina borynowskiego Kuba. Kiedy zaglądam do „Chłopów” Reymonta nie

mogę się oprzeć wrażeniu, że Kuba to Jaś. To taki sam „robotny parob, choćby i za dwóch, gospodarskiego nie ruszył i o inwentarz dbał więcej niżli o siebie, a choć kulawy był i mocy wielkiej nie miał, ale na gospodarstwie się znał — można się całkiem spuścić na niego, że wszystko, jak przynależało robi i jeszcze najmniejsza przypilnuje”. Gospodarz nie musiał odnawiać rocznych umów o pracę z Jassem, tak jak Maciej Boryna z Kubą, nie musiał do Jasia przemawiać: „Napój no się, Kuba, na zgodę i słuchaj, co rzeknę, a sam się pomiarujesz, że co parobek, to nie gospodarz (...). Takie tuż na świecie urządzenie jest i nie twoja głowa zmieni”. Bo Jaś, jako się rzekło, zawarł inny układ z gospodarzem, zaczęło się to wtedy, kiedy gospodarz przyjął go, jako sierotę, do swojego domu. Ale choć to była nie Jasłowa i nie gospodarza głowa, „urządzenie” na świecie się zmieniło, a także układy rodzinne, stosunki pomiędzy ołcem i synem, pomiędzy gospoda-

kobiet. Mężczyzna pracuje ciężko w okresie sezonowych robót w polu i młocki. Poza tym jego obowiązki sprowadzają się do przygotowania drzewa na opał i obrządku koło bydła, a więc narządnia sieczki przy wzięciu wody, wyrzucenia gnoju. Kobieta natomiast rzeczywiście pracuje od świtu do późnej nocy. Krząta się koło męża, dzieci, domu, gotuje, pierze, pomaga mężowi w każdej niemal czynności (...). W takim kierunku trudno myśleć o jakichkolwiek rozrywkach kulturalnych. Odpuść, chrzciny, wesele, pogrzeb, to są główne imprezy. Teatr — tylko przygodnie, w szkole, i to amatorski. Książka też jest rzadkim gościem.

To jest notatka sprzed trzydziestu laty. Dzisiejsza wieś nie przypomina wczorajszej. Ale w jaki sposób Jaś Jedynek „ułonecznia” swoją duszę? Znam wieś, w której mieszka Jaś. Jest to wieś nowoczesna, prawie wszystkie domy są murywane. Ta wieś narodziła się po wojnie. Przed wojną nie było szosy, domy były



Rys. Janusz Szymański-Głanc

rzem, a tymi, którzy mu pomagają w pracy. Dzisiaj o robotników rolnych trzeba usilnie zabiegać. Dobrze im się płaci, dobrze żywi, a w pewnych okolicach niektórzy gospodarze samochodami podjeżdżają do sąsiednich wsi i zabierają chętnych do pracy, ubiegając innych konkurentów.

Ileż to lat minęło, kiedy o chłopach pisano, że „na jarmarkach i targach upija się, sąsiadowi szkody robi, żeni się i żeni dzieci dla majątku (...). bogatemu sąsiadowi, choćby z najgorszą przeszłością nadskakiwać i pochlebiać będzie (...). lazi jak zwierzę po świecie z tym, żeby jeść, pić i pieniądze zbierać, jak kto może — duży swej, o której głośno się odzywa, nie upiększy, nie prowadzi ją w słoneczność myśli, nie uczłowiecza”. Sam się zdziwiłem, czytając te słowa, chociaż w dzieciństwie i młodości byłem świadkiem takich postaw. Dzisiaj te sprawy inaczej wyglądają. Wystarczy przyjrzeć się wyznaniom młodych ludzi, zebranych w „Awanisie pokolenia”, czy innych tomach z cyklu „Młode pokolenie wsi Polski Ludowej”, zobaczyć ich marzenia o lepszym świecie, jak te marzenia realizują.

Ale choć wiele się zmieniło, jedna troska pozostała: na wsi nigdy czasu za wiele. W jednym z reportaży, który opublikowałem w piśmie „Wies” zaraz po wojnie, pisałem o wsi z lat międzywojennych: Na wsi czasu nigdy nie ma. Pod tym względem bardziej upośledzone są

drewniane, kryte strzechą. Drogi były błotniste. Dzisiaj przez wieś biegnie szosa, jeżdżą autobusy PKS. Nad dachami domów rysują się anteny telewizyjne. Jest piękna szkoła, jedna z tysięcy, biblioteka gminna, filia spółdzielni ogrodniczej. W wielu gospodarzach ma samochody i traktory. Jaś Jedynek ogląda telewizję, pomaga traktorystom, obsługuje nowoczesną młocarnię. Jasia nie dziwiwa te cuda. Każdą nowość techniczną przyjmuje jak rzecz naturalną. To ja się dziwię, obserwując Jasia, który obywał się bez książek, koleją nie jechał, wielkiego miasta nie widział, w teatrze nie był, że jest tak delikatny, godny, pełen wewnętrznej ciepła.

Czy mimo wszystko nie zapomnieliśmy o Jasiach Jedynkach? Jasiów jest niewiele, ale w ten sposób jak on, żyją inni. Czy mimo opieki rodzinnej nie zostawiliśmy Jasia samemu sobie? Czy znamy jego tęsknoty? Wieś się ożywiła ekonomicznie, rolnicy żyją dostatniej, kształcą dzieci. Na wsi istnieje polityka ekonomiczna, której skutki oglądamy, ale czy właściwie realizujemy politykę kulturalną? Czy wykorzystujemy należycie owe biblioteki, kluby i świetlice wiejskie, czy spotykamy tam Jasia Jedynaka? Obawiam się, że w tej wsi, w której mieszka Jaś, odpowiedź nie będzie przyjemna. W innych wsiach (a znam takie) może jest inaczej. W każdym razie pytanie jest aktualne.

POEZJA

JERZY S. FELIKSIAK

OJCOWSKI KODEKS

Z domu odchodząc pod kamienne niebo,
prawo wolności wybrałeś z przykazań.
I za odwagę pchnięty w tunel Dory
cierpiełeś nie mniej niż biblijny Łazarz.

Z ziemi odchodząc w słup dymu, w powietrze,
pozostawiłeś mi moralny kodeks:
wierność prawości aż do szpiku myśli,
zasady większe od strachu przed głodem.

Każdy Twój szczegół utkwiał w zwojach mózgu
i Twoja godność — pod bliźnią na sercu.
Z kodeksu — respekt dla wolności psaków,
negacja pychy i gniew za oszczerstwo.

HENRYK SKWARCZYŃSKI

MIEJSKI TARG

i ten obraz chciałbym zachować w pamięci
coś jak wycinanka z dwudziestego wieku
w wiklinowych koszach jaja dalej ser
toczą się bochny białego chleba
nasz sen o wiejskiej sielance przechadza
się po twarzach ociężałych kobiet po
nieprzebranych zapachach i smakach
ale oto patrzcie jedna z nich wstrząsa
butelkę z herbatą i pogryza wielką bułę

a dalej slychać sprzedawcę gruszek

„takie cierpkie jak i pani“ i

„nakradł pewnie gdzie złodziej“

gwar i śmiech poranka jeszcze nieutrudzonego
i to zdziwienie że i my przechadzamy się
w tym bruegelowskim świecie aż ścisła za
krtani i chciałoby przenieść ten obraz w wieczność

MICHAŁ S. DALECKI

OKRUCH BIOGRAFII

TKACZKI Z WIDZEWSKIEJ

MANUFAKTURY

Eulalia jej dano na dobry początek
szkół dano tyle ile do podpisu
i dano w dożywocie ochotę do znoju —
tak się z bawelną romans życia począł
odtąd splatała ręką w koszuł i suknie
ziemię odziała runo do trudu nawykła
obywatelka Eulalia dziedziczka Widzewa
pani sennych świtów i późnych powrotów
Eulalia Bąkowa tkaczka pierwsza z wielu
nim się dźwignęła do sytości niedziel
już czas z a m k n a ł księgi —
z okna wypatruje pospieszne dreptanie
korowodu tkaczek aż do bram bawelny
dzień im otwiera na dobry początek —
Eulalia Bąkowa pierwsza dama tkalni
dziedziczka Widzewa
pani wczesnych świtów.

Najnowsza książka Krzysztofa Nowickiego (rocznik 1940) — nagrodzony III nagrodą w zamkniętym konkursie Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i Związku Literatów Polskich — to opowiadania „W imię ojca i syna” — wiersze kontynuujące problematykę dotychczasowego dorobku prozatorskiego autora („Główny przegrany”). Nowicki jest w jednakim stopniu krytykiem, poetą i prozaikiem, wszystkie te dziedziny uprawia regularnie i z wyraźną konsekwencją. Przykładem programowej konsekwencji może być właśnie jego twórczość prozatorska.

Jako prozaik zadebiutował w roku 1967 zbiorem opowiadań „Droga do ojca” i od tej pory usiłuje w swej prozie rozwikłać zbliżone za każdym razem problemy, lecz ujmowane coraz to inaczej, oglądane ze zmieniających się punktów widzenia. Tak więc twórczość prozatorska Krzysztofa Nowickiego stanowi zdecydowaną całość. W pierwszych książkach narrator starał się odpowiadać na pytania: „kim jestem, czego się spodziewam, o co mi właściwie chodzi”? Ujawniała się też wtedy przynależność pisarza do określonego pokolenia, posiadającego kompleks w stosunku do starszych, do tych, którzy walczyli. Nawet gdy Nowicki pisał o teraźniejszości — zawsze odwoływał się do spraw minionych. Aby zrozumieć teraźniejszość, sięgał głęboko w przeszłość. Wydużaniem pamięci nazwałem kiedyś postawę zaprezentowaną w opowiadaniach i powieściach Krzysztofa Nowickiego, bo od wydłużania własnej pamięci zaczęli bohaterowie tych opowiadań i powieści swoje przygody, bo ćwiczyli pamięć „jak inni trenują mięśnie, giętkość kręgosłupa”.

Kluczem do zrozumienia większości przedstawionych w prozie Nowickiego spraw stawała się wojna. Podobnie jest w najnowszym tomie opowiadań. Wojna — powiada narrator — to taki czas, kiedy „na świecie nie ma już żadnej świętości, czasem tylko jakiś człowiek ukrywa się przed losem, słuchając swego serca. Przez pewien czas mu się to udaje, śni ludzi, których niegdyś kochał i jest im wierny. (...) Wszystkie moce sprzyjają się przeciw niemu. Nadchodzi dzień, w którym wszystko się kończy. Zawsze niespodziewanie”. Koszmar wojny też kiedyś się skończył. Nie dla wszystkich jednak. W wielu ludziach żyje jako wspomnienie, jest źródłem rozmaitych stanów psychicznych, kompleksów, jakby swego rodzaju poczuciem winy, że komuś udało się przeżyć, a najbliżsi i znajomi zginęli. Stan ten bardzo dokładnie wystudiował w swej prozie Leon Gomolicki i nadał mu — zaczerpniętą z mitologii — nazwę *admetyzmu*. Admetyzm właśnie cechuje większość bohaterów „W imię ojca i syna”. Narrator opowiadania pt.: „Wielki Brodacz” powiada: „Wokół mnie jest więcej umarłych niż żywych. Ale umarli nie chcą mi pomóc. Zastanawia twarz, wyciągając swoje ręce, a potem je cofają, jakby dźwilił się, że ja jeszcze żyję. Jakby pytali mnie, co ja jeszcze robię w tym świecie, pełnym brudu i zgiełku”. Opowiadania Nowickiego to wnikliwie studia ludzi starszych, dotkniętych kompleksem Admeta. Żyją oni codziennością, ale rozpamiętują przeszłość, czasem nawet namiętnie — na spotkaniach młodzieży, z kombatantami.

Jedynie opowiadanie „Powrót Prezydenta” (najlepsze w tomie) jakkolwiek również dotyczy spraw wojny, wykracza poza problematykę admetyzmu. Pozbawione szczegółowych realiów nabiera charakteru przypowieści o spóźnionej odwadze, o ludzkiej determinacji. Należy wnikliwy czytelnik może się domyślić, iż

chodzi o powrót prezydenta Bydgoszczy do zajętego już przez Niemców miasta. Oschłość relacji wznaga kontrast między wiarą w międzynarodowe prawo i poczuciem honoru a bezprawiem i brutalnością zdobywców.

Jedno z opowiadań („Koronacja”) stanowi prozatorską transpozycję wcześniej napisanego wiersza. O zbiorze „W imię ojca i syna” potrąfi on powiedzieć więcej niż najwnikliwsza nawet recenzja:

Kobiety z których starość wylała jak szczer zawsze pragnęły żołnierskich dzieci rodzili się późno i ginęły śmiercią gwałtowną (...) Jestem własnością hoteli które mnie zameldowały jestem ludem szpitali w których umierałem. Teraz ukryłem się w ciemności piasku serdecznie pozdrawiam znaną morza ziemi wszystkich którzy pamiętają

Konsekwencja, z jaką Krzysztof Nowicki porusza w swej prozie określony krąg spraw

KOMPLEKS ADMETA

znęży być może niejednego czytelnika, zniecierpliwienie niejednego krytyka. Lecz jest to konsekwencja nieprzypadkowa. Wynika z ostrzegawczej — w rozumieniu autora „W imię ojca i syna” — funkcji pisarstwa, z chęci ostrzeżenia i oceniającego pokoleń. I tak też rozumiem tytuł zbioru.

TADEUSZ BŁĄZEWSKI

K. Nowicki, „W imię ojca i syna”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978, s. 203, nakład 20 000 + 305 egz., cena zł 18,—

PANORAMA POEZJI RFN

Lata powojenne zastały twórców niemieckiego obszaru językowego w sytuacji dosyć zróżnicowanej. O ile ludzie pióra w Austrii i Szwajcarii nie byli moralnie zobowiązani do podjęcia dialogu z najświeższą historią, to ich koledzy znanu Reni stanęli wobec złożonego, wielostronnie uwarunkowanego zagadnienia. Kolejne lata pokrywały temat obrachunku z przeszłością warstwami nowych doświadczeń, poeci nie mogli zasklepić się w monotematycznej problematyce wojny, lecz byli niejako zobowiązani do czynnego uczestnictwa w metamorfozach własnego społeczeństwa. Przemiany społeczne, obyczajowe i artystyczne znalazły wkrótce w poezji zachodniemieckiej swoje odbicie, chociaż niejednokrotnie było to odbicie w krzywym zwierciadle groteski czy ironii.

Liryczny świat poetów Republiki Federalnej Niemiec był dotychczas w Polsce raczej obszarem mało znanym, przeciętnemu czytelnikowi nasunąć się tutaj mogły najwyżej nazwiska Güntera Eichsa, Hansa Magnusa Enzensbergera czy Güntera Grassa.

Dzięki inicjatywie poznańskiego germanisty, Stefana H. Kaszyńskiego, ten stan rzeczy uległ ostatnio zmianie, gdyż nakładem Wydawnictwa Poznańskiego wydał on w końcu ubiegłego roku obszerny tom wierszy poetów Republiki Federalnej Niemiec pt. *W cieniu Lorelei*. Przypomnijmy, że Kaszyński jest także wydawcą m. in. antologii poezji niemieckiej Republiki Demokratycznej *Dopowiedzenie switu* (1969 1974) oraz liryki austriackiej *W błękitach kształt swój odmalować* (1972). Zdumiewać więc musi konsekwencja poznańskiego uczonego w sukcesywnym znanym nam polskiemu odbiorcy z poezją niemieckiego obszaru językowego po roku 1945.

Zgodnie z podtytułem Stefan H. Kaszyński zaprezentował w tomie w zasadzie twórców zachodniemieckich, jakkolwiek przynależność niektórych poetów do piśmiennictwa Republiki Federalnej jest nieco dyskusyjna, jak np. w wypadku Nelly Sachs, Hansa Arpa czy Ivana Golla. W jednej ze swych prac pisał Kaszyński o tym problemie następująco: „...omawiani tu poeci nie zawsze żyją względnie żyli w RFN, aliiści charakter ich poezji, jak i ich adresat każe zaszerzować... do poezji RFN. Twórczość tych poetów nie tylko trudno przypisać do którejkolwiek innej poza RFN niemieckojęzycznej literatury, lecz mamy tu niewątpliwie do czynienia z indywidualnościami nie mieszczącymi się w żadnej z panujących tendencji. W tym wypadku argument miejsca wydania, jak i fakt, że adresaci tych tekstów przede wszystkim mieszkają w RFN, wydaje się przesadzać sprawę zakwalifikowania tych liryków do poezji zachodniemieckiej”.

Antologia *W cieniu Lorelei* zawiera nieco ponad sto pięćdziesiąt wierszy 46 autorów, wydaje się więc, że można ją uznać za w pełni reprezentatywną dla obrazu poezji Republiki Federalnej Niemiec, przy czym Kaszyński zaznaczył, że brał pod uwagę utwory powstałe do roku 1975, co jest w pełni zrozumiałe wobec nieco długiego u nas cyklu produkcyj-

nego książki. Mimo tego można być pewnym, że kilka minionych w niedziedziczone lat nie wniosło istotnych korekt do panoramy ukazanej nam na kartach antologii przez poznańskie Wydawnictwo, gdyż bogactwo tematyki zebranych wierszy, szeroki wachlarz artystycznych możliwości w optymalnym stopniu pozwala wejrzeć w skomplikowane meandry poezji zachodniemieckiej.

Pierwszy okres rozwoju liryki Republiki Federalnej Niemiec przyniósł nawiązanie do tradycji, do humanistycznych treści i dokonań poezji niemieckiej sprzed roku 1933, a więc nim jeszcze brunatny bakcył zaczął się pisać także i w dziedzinie literatury pięknej. Postępowi pisarze podjęli rozprawę z faszyzowską przeszłością, także i lirycy gros swoich utworów poświęcili temu zagadnieniu. Niwelowanie wpływu liryki refleksyjnej i przyrodniczej, uleganie koncepcjom powstającym i krystalizującym się systemów filozoficznych i światopoglądowych (m. in. duży wpływ Jaspersa) pozwoliło dojrzeć talentowi wielu poetów, których utwory napisane w ogniu gorących polemik i sporów o nową poetykę są do dzisiaj ważnymi dokumentami literackiego życia tamtego okresu. Wspomnijmy tutaj m. in. nazwiska Lehmana, Bergengruena, Kaschnitz, Domin, Sachs czy Krolowa. Z czasem ci inni poeci zmieniali swoje koncepcje, korzystali z osiągnięć i doświadczeń różnych prądów literackich, jak miniony już, ale ciągle żywy ekspresjonizm czy surrealizm. W sumie powstała na przestrzeni lat ogromnie interesująca grupa liryków o niezwykle zróżnicowanym warsztacie twórczym i bogatej paletce artystycznych możliwości. W dziedzinie np. liryki politycznej uwagę na siebie zwrócili m. in. tacy poeci jak Günter Grass, Hans Magnus Enzensberger, Günter Bruno Fuchs czy Arno Reinfrank. Lirycy o wyraźnie sprzecywowanych, postępowych poglądach wychodzili częstokroć ze środowiska robotniczego, zdobywając swe literackie szlify m. in. w „Literackich Kołach Robotniczych Świata Pracy”, które programowo zwracały uwagę młodych twórców na wszelkie nierzadko narodziły się zagadnienia społeczno-polityczne Republiki Federalnej. Także spośród młodszych głównie poetów rekrutowała się tzw. eksperymentalisty, a m. in. tak wybitni lirycy konstruktywistyczni jak Heissenbüttel, Rühmkorf czy Born.

Tom *W cieniu Lorelei* prezentuje w przeważającej mierze autorów i wiersze nieznane w Polsce, względnie drukowane swojego czasu na łamach prasy literackiej i nieco już zapomniane. Dla celów antologii spolszczonej dokonali uznani, wielokrotnie już sprawdzeni tłumacze, jak m. in. Bernard Antochowicz, Bolesław Fac, Stefan H. Kaszyński, Maria Krysztosiak, czy Wilhelm Szewczyk.

KRYSZTOF A. KUCZYŃSKI

W cieniu Lorelei. Antologia wierszy poetów Republiki Federalnej Niemiec (do roku 1975), wybór Stefan H. Kaszyński, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1978, ss. 258, cena 50 zł

Tytuł pracy Michała Misiornego stawia nas od razu w samym środku trwających dość długo dyskusji na temat roli pisarza i reżysera w teatrze. Jeśli nawet zamknąć czasokres tego sporu w latach powojennych, uda nam się również dostrzec zarówno zmienność akcentów, jak i odcienie faktyczne osiągnięcia w ramach poszczególnych praktyk twórczych. W początkach lat 50-tych odnowa w teatrze dokonała się za sprawą dramaturgów. Nie bez powodów mówi się — awangarda lat 50-tych. Najwybitniejszą postacią tego okresu jest S. Beckett. I choć język — „stanął na granicy swej wydolności” — jak to określił L. Flaszen, ciągle narzędziem porozumienia było słowo. Dopiero w końcu lat 60-tych teatr odwołał się do ciała, gestu, ograniczając rolę słowa. Istotną rolę odegrały doświadczenia tzw. teatru grup, spektakle J. Grotowskiego, Living Theatre, Open Theatre. „Apocalypsis cum figuris”, jedno z największych dzieł tego okresu, powstało w trakcie trwających blisko dwa lata imprewizacji aktorskich. W pewnym momencie słowo stało się niezbędne, bowiem mowa jest także żywiołem ludzkim, jak stwierdził później Grotowski. W zamykanych obecnie etapach badań parateatralnych, stanowiących rodzaj stażu, słowo nie jest utrwalałe, zapisywane, najczęściej są to doświadczenia bez słowa. Dążenia Grotowskiego to jedna z dróg analiz możliwości teatru. W podobnym kierunku zdążają przemyslenia innych twórców np. A. Gregory'ego. Nieco odmienna jest postawa P. Brooka, który po realizacji „Tymona Ateńczyka” przygotował imprewizację na temat ginącego plemienia Indian pt. „Les Iks”.

Ten nie pretendujący do kompletności opis wprowadza nas w ostatnie poszukiwania i stanowi wystarczającą przygotowanie do analizy omawianej książki. Autor próbuje pogodzić cechy słownika z elemen-

tami własnego komentarza krytycznego i przedstawia wybrane sylwetki dramaturgów współczesnych. Głównymi bohaterami pracy są dramaturgowie piszący po 1945 r., choć autor nie przestrzega tej daty rygorystycznie i czyni wyjątki. Napisał M. Misiorny książkę o swoich pisarzach: „Moi pisarze — zatem książka osobista. Tak, osobista — i to zarówno za sprawą wyboru, jak i przez sposób podejścia do poszczególnych pisarzy. Równoległe przecie starałem się dać tyle informacji o życiu i twórczości autorów, by

uczynić z tej osobistej wypowiedzi zarazem namiastkę podręcznego słownika pisarzy, twórczych dla sceny”. I rzeczywiście tak się dzieje. Nie wnikając w zasady wyboru łatwo zauważymy, że jedni autorzy otrzymują zaledwie kilka zdań komentarza, inni przyciągają uwagę autora na dłużej.

Krytyk czyni wyznaczenie: „Moim pisarzem jest Jean Paul Sartre, choć się z nim nie zgadzam, jest nim Albert Camus, z którym chciałbym się zgodzić, jest Samuel Beckett, autor „Czekając na Godota”, i może, także „Końcówki” albo „Radosnych dni”, jest Henry de Montherlant, jest nawet Edward Albee, który coraz bardziej drażni, i jest Aleksiej Arbusow — dobry, pochylony z troską nad innymi ludźmi człowiek”. Jednak wymienieni pisarze nie znajdują się w szczególnie uprzywilejo-

wanej pozycji. Nawet jeśli brać pod uwagę „objętość” uwag. Trudno zrozumieć w jakim momencie swej krytycznej relacji wykracza M. Misiorny poza obszar konwencjonalnego opisu, by dodać ulubionym autorom tzw. blasku. Być może miłośnicy krytyki usprawiedliwią te braki i ulegają mistyfikacji żądającej od niego znacznie więcej niż tylko wyznań.

Oprócz płaszczyzny krytycznej, najważniejszej dla autora, książka zawiera krótkie noty o kilkudziesięciu współczesnych dramaturgach.

wie w „Dialogu” K. Wolicki stwierdził: „Czym jest więc ideal teatru zapisany w dramacie? Wizją widowni i stosunkiem do niej teatru. Tak, jak to jest u Radzieckowa. „Styczeń”, poemat zimowy Jordana Radzieckowa, jest jednym z najlepszych dramatów, jakie w ostatnich latach zdarzyło mi się czytać w piśmie „Dialog”. Nazwisko Radzieckowa to jeden z najbardziej jaskrawych, tłumaczonych subiektywizmem pominiętych w tej pracy.

Najwięcej uwagi poświęca krytyk pisarzom tworzącym w gruncie rze-

spodarować trochę przestrzeni, gdyby autor w zakończeniu każdego komentarza krytycznego wyliczył oddzielnie datę premiery, adres bibliograficzny tekstu sztuki, komentarze do niej itp. Choć prace o charakterze słownikowym, tego typu układu nie zawierają, ich wprowadzenie ułatwiłoby znacznie korzystanie z książki. Skoro jednak kraca nie chce być tylko słownikiem, więc wskazuje powyżej odstępstwo od schematu powinno być dopuszczalne.

Analizując twórczość awangardy lat 50-tych M. Misiorny bardzo często powołuje się na szkice A. Falkiewicza z „Dialogu”. Wydaje mi się, że lepiej byłoby przywołać książkę A. Falkiewicza pt. „Mł Orestes”, jedną z lepszych książek o teatrze, jakie się u nas ukazały. Prawdopodobnie części czytelników łatwiej byłoby do niej dotrzeć niż do oddzielnych numerów „Dialogu”. Także w bibliografii brak informacji o tomie Falkiewicza. Dochodzimy tutaj do pytania o adresata książki. Można by je wyminąć zrzucając całą odpowiedzialność na tzw. miłośników teatru, co zapewne wydawcy wystarcza. Takie jednak, dość luźne potraktowanie odbiorcy nie zawsze dopomaga w ukształtowaniu całości zamierzeń. Bliższe dookreślenie odbiorcy umożliwiłoby autorowi odbyć tę publiczną próbę ze znacznie większymi zyskami dla czytelnika. Wszystko to jednak nie przekreśla znaczenia zadania, którego w końcu musiał się ktoś podjąć. W następnym podjęciach będzie lepiej i Misiorny zapewne o tym pamiętał, decydując się przeprowadzić jakże konieczną próbę.

KAZIMIERZ KOWALEWICZ

Michał Misiorny, Współczesny teatr na świecie (sylwetki pisarzy), Warszawa 1978.

PRÓBA

Krytyk akcentuje subiektywizm wyboru, ale trudno zapewne darzyć sympatią tak wielką liczbę autorów tekstów teatralnych. Jakkolwiek byśmy postąpili, od pewnego momentu jakieś kryteria muszą się zobjektywizować np. uwzględnić przedstawicieli różnych narodów. Ten ostatni zabieg w książce jest także widoczny i dzieki temu znajdujemy noty o autorach nie zawsze najciekawszych. Subiektywizm nie może być nigdy dowolnością. Zresztą jak by tej kwestii wyboru nie traktować, trudno zapewne będzie zrehabilitować w książce brak uwag o sylwetce twórczej J. Radzieckowa. Autora między innymi „Chryji”, sztuki granej we Wrocławiu kilka lat temu w reżyserii A. Witkowskiego i „Stycznia” prezentowanego w Łodzi niedawno przez teatr z Ruse. Pisząc o J. Radziecko-

„ZORBA” W WIELKIM



Łódzki Teatr Wielki wystąpił z polską prapremierą „Zorby” Johna Kandra. Na zdjęciu: Alicja Pawlak — Hortense i Włodzimierz Zalewski — Zorba.

Fot. Chwalisław Zieliński

Jaki zmierzch? Jakiego świata? Nie świata w ogóle z pewnością, ten będzie istniał zawsze. Historia zna jednak przypadki, gdy określony model świata ukazywał się przez społeczność ludzką ma się ku końcowi.

Gdy Jean Giraudoux, jeden z najwybitniejszych dramatopisarzy okresu międzywojennego, subtelny poeta, kilkumiesięczny minister informacji w wojennym gabinecie premiera Daladier, pisał „Wariatkę z Chaillot”, świat wstrząsany był paroksyzmem najstraszniejszej w swych dziejach wojny. Dosłownie w kilka dni po napisaniu tego utworu autor, który kierował tzw. dokumentacją francuską, czyli archiwum Ruchu Oporu, został aresztowany przez gestapo.

U ZMIERZCHU ŚWIATA

Okoliczności, w jakich powstała „Wariatka z Chaillot”, były symptomami zmierzchu świata, w którym rozszalał się okrucieństwo, kapitalistycznej grabieży i faszystowskiej przemocy przeciwstawiał Giraudoux w swym mniemaniu jedyną siłę oporu, na które składali się poeci, marzyści, odmięci i dziwacy. Razem z upadkiem faszystów upadła chyba wiara w to, że artyści są w stanie szlachetnością swych postaw uratować ludzkość przed złem. Idealistyczne i utopijne widzenie mechanizmów determinujących warunki życia społecznego ma w utworze Giraudoux cechy naiwnego piękna.

Kogóż to czyni bowiem główną bohaterką swego utworu, która znaleźć ma remedium na niesprawiedliwość? Aurelię, hrabinę autentyczną czy urojoną, w każdym bądź razie elegancką niegdyś damę, dziś „stopioną w obłędzie, obsesyjnie wspominającą przeszłość, w której nie zrealizowało się jej szczęście. Ta kobieta ma stać się głównym dowodzącym, wodzem krucjaty przeciw monopolom, bankom, zbrodnicy organizmowi wielkiego kapitału.

A więc na czele szlachetnego spisku wariatki z Chaillot. Jej głównymi doadczykami są dwie inne obłąkane: Konstancja, wariatka z Passy i Gabriela, wariatka z Saint-Sulpice. W ich podszytych szaleń-

stwem rozmowach wyraża się w sposób potępy doskonalony sprzeciw i bunt wobec panującego establishmentu.

Czy zatem tylko wariaci ze swoją odmienną, zniekształconą przez obłąk logiką są w stanie ogarnąć nasilenie zła i jego kapitalistyczne korzenie? Nie. Do szlachetnych wariatek dołącza się społeczność ludzi pozostających również niecodzienny sposób widzenia świata. To jakiegoś pogranicze prostoty ze środowiskiem kuglarzy, wędrownych artystów, cyrkowców. Ludzie ci żyją w wymiarze urojonym, somnambulicznym dlatego łatwo im zgodzić się na propozycje Aurelii. W tym ich światku znajdzie swoje miejsce także pomywaczka, śmieciarz

kelner, kanalarz, nawet policjant. Obowiązujący porządek społeczny wychnął ich na jakiś margines, zmusił do życia rojami i fantazją. Ale to im właśnie przypada w udziale obowiązek uchronienia wartości deptanych na co dzień przez warstwy posiadające i wszechmożne.

Te wartości to godność ludzka, miłość, uczciwość, solidarność, niesprzedajność. W imię tych ideałów decydują się na życie w nędzy i niepewności. Ich jedyną siłą jest poczucie moralnej wyższości nad tymi którzy nimi pomiatają.

Jakie wrażenia odnieść można dziś, z pełnej historycznej perspektywy, w zetknię-

ciu się z filozofią Giraudoux? Trudno wyzbyć się przede wszystkim wielkiego współczucia wobec poety, którego pesymizm w obrazie świata pchnął do poszukiwania resztek nadziei w przewrotnym metaforze, według której tylko wariaci są w gruncie rzeczy rozsądnie myślącymi ludźmi. To oni jedni — że użyję współczesnego powiedzonka — nie dali się zwarlować, odmówili udziału w zbrojowym szaleństwie, jakim był ogólny wyścig za pieniędzmi i posiadaniem. Szlachetności intencji autora towarzyszy jednak — widzimy to wyraźnie — absolutna atrofia jeśli chodzi o widzenie rzeczywistych dróg wyjścia dla społeczności ludzkiej.

„Wariatkę z Chaillot”, którą Giraudoux zdążył przed aresztowaniem zaledwie nazbierać, zaadaptował na scenę wielki aktor francuski, osobisty przyjaciel pisarza, Louis Jouvet, wystawił zaś ją po raz pierwszy, w 1945 roku, równie wybitny aktor teatru, Jean Louis Barrault. Tuż po gehennie wojennej, w obliczu nieodczulanych strat moralnych, jakie obok ofiar w ludziach i zniszczeń materialnych ponosił świat, „Wariatka z Chaillot” miała zdecydowaną wymowę. Oto biedna stara wariatka oskarża świat ludzi normalnych o obłąd, jakiemu się poddał, o szaleństwo zbrojowym, w jakim uczestniczyli. Czy dziś piękny tekst Giraudoux brzmi również przekonująco?

Świadomie nie dopowiadam. Może tylko dam wyraz wzruszeniu estetycznemu, jakiego dostarczyła mi zrealizowana przez Gerarda Vergeza i zagrana przez Edwige Feuillere „Wariatka z Chaillot” w wersji telewizyjnej. Dla miłośników poezji był to wieczór błyskawicy pełną paletą barw.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Montserrata”

Do mojej recenzji z przedstawienia sztuki Roberta „Montserrata” w Teatrze Powszechnym („Odgłosy” nr 8 (1107), wkładki się pomyliki dotyczące obsady ról w tym przedstawieniu.

Przepraszam aktorów, zamieszczając jednocześnie poniższe sprostowanie: Odtwórca postaci tytułowej w przedstawieniu był Bronisław Wrocławski, a rolę Aktora grał Edward Warzecha.

Pragnę również dopowiedzieć, że rolę Matki gra w przedstawieniu — obok Wiesławy Grochowskiej — Maria Wawszczyk.

SLAWOMIR SWIONTEK

Jałowść bieżącego repertuaru, opanowanego przez firmy spod znaku sensacji i komedii nie najwyższych lotów sprawia, że los recenzenta staje się coraz smutniejszy i więcej kłopotliwy. Kłopoty te obciążają widaka także redakcję, która obdarowuje czytelników dwukrotnymi recenzjami tego samego filmu, co bywa wdzieczną praktyką redakcyjną w sytuacjach polemicznych, niezrozumiałą jednak w przypadku, o którym chcę wspomnieć, to znaczy podwójnej recenzji filmu „Płomienie” Ryszarda Czekala.

Jako autorka recenzji publikowanej wcześniej (Odgłosy, nr 44/78) ze zrozumiałym zainteresowaniem zabrałam się do lektury sześcioletniego elaboratu Jadwigi Łużyńskiej-Dorobowej pod intrygującym tytułem „Płomienie” bez alternatywy? (Odgłosy, nr 7/79), w pysze swej sądząc, że moja to recenzja wywołała reakcję cytowanej tu autorki. Rychło musiałam spokojnie, dwa zdania polemiczne odnosić się bowiem do opinii Marka Pawlukiewicza i Anny Tatariewicz, wypowiedzianych na łamach „Kultury”.

Nie na polemice zbudowane są jednak wywody Łużyńskiej-Dorobowej, lecz na snućiu refleksji w konwencji: „Moja pani, byłam w kinie...”. Ten styl ujawnienie swe znajduje głównie w sposobach przytaczania poszczególnych scen oraz prezentacji i charakterystyki bohaterów filmu, co gorzej jednak, przenosi go Autor-

ka także w rejonie interpretacji utworu Ryszarda Czekala. Zaznaczyć tu zatem muszę, że może warto film ten obejrzeć jeszcze raz, wbrew temu, co w recenzji zostało powiedziane, cytując: „Nie wszystko w „Płomieniach” jest konsekwentne i doprowadzane do końca, choć nie aż do tego stopnia, by nie można było tego filmu po jednorazowym oglądzie głębiej przeanalizować”.

„Socjologizujący” ton wywodu Jadwigi Łużyńskiej-Dorobowej nie zwal-

żonej i kunsztownej poetyce wypowiedzi. Na tej konstatacji kończę, gdyż o stosunek wobec filmu Ryszarda Czekala miałam zaszczyt już Czytelnikom przedstawić, a podjęcie merytorycznej polemiki z omawianym tu tekstem z powodów wyżej przedstawionych nie wydaje mi się celowe, tym bardziej, że zawikłany styl rozważań Łużyńskiej-Dorobowej znakomicie rzecz utrudniają.

Pozwól Państwo, że w związku z ogólną posuchą filmową, o czym była

Telewizja Polska, która rozpoczęła emisję serialu „Historia filmu francuskiego”. Kogóż w nim nie można zobaczyć i usłyszeć! W pierwszym pokazanym odcinku wystąpili aktorzy René Clair, Abel Gance, Marcel Pagnol, Marcel L'Herbier, Charles Saak i inni. Wszyscy ci starsi panowie tworzyli historię kina i to nie tylko francuskiego. Znakomita to okazja, by zanurzyć się w przeszłość, poznać smak tamtych lat, zrozumieć kino. I przyznać trzeba — okazja

prócz filmów pozostawili też nam swe książki. Kilka miesięcy temu wydano u nas wspomnienia Jean Renoira „Moje życie, moje filmy”. Ich lektura przypomni nam w świat artysty, o którym jego rodak, André Bazin, powiedział, iż wstąpił on „na szlak wyznaczony nazwiskami Rabelaisa, Rousseau, Balzaka, Maupassanta i Zola. Ta tradycja nie wyklucza ani inteligencji, ani zmysłu satyrycznego, ale chętniej ogląda świat od strony jego cielesnego piękna, zmysłowego i dotykającego”.

Taką też osobowość odnajdujemy we wspomnieniach adresata tych słów, poznajemy w nich jego stosunek do sztuki, którą uprawiał, jego twórcze poszukiwania i artystyczne credo. Odkrywają nam one w jego filmach to, co może nie zawsze dostrzegaliśmy, zaczynamy lepiej rozumieć, czemu „nowa fala” tak wielbiła Jean Renoira. W szeregu, często bardzo pikantnych, anegdot wylaniają nam się nowe oblicza tych, których znamy z ekranów, a wśród nich Ericha von Stroheima, Ingrid Bergman, Jean Gabin, Michela Simon i wielu innych. „Moje życie, moje filmy” Jean Renoira, to zatem cóża pozycja, tym razem książkowa, która pozwolił tym, którzy kochają kino przetrwać zle filmowe czasy i ukonić się od niepotrzebnych lektur.

EWA NURCZYŃSKA

Z POWODU POSUCHY

nia jej, moim zdaniem, z pamiętania o tym, że przedmiotem jej rozważań jest utwór artystyczny, którego sensy znaczeniowe znajdują swe ujawnienie poprzez ukształtowanie formalne. Jeśli dla Autorki film „Płomienie” jest dziełem o „wyraźnej oszczędności środków wyrazu”, to znaczy, że musi się w jego odczyci niu miać z intencją reżysera, jako, że siła i sens argumentacji Ryszarda Czekala zawarte są w wyjątkowo-

na początku mowa, słów kilka poświęcając sprawie pozostającej poza bieżącym repertuarem kinowym. Sprawa ta rzęsta wszystkim markotnym może przywrócić wiarę w kino, bo przypomina jego pionierskie i bohaterskie czasy. Wszystkim tym, którzy kochają film, z żalem patrząc na ekrany naszych kin, pragnę, jeśli ich jeszcze nie odkryli, polecić dwie, jak antidotum działające pozycje. Pierwszą z nich proponuję nam

rzadka. Film — rejestrator życia, jak gdyby zapomnieli o sobie samym, o szanie, jaką posiada, by potomnym przekazać swe własne życie. Postacie bohaterów wspomnianego tu serialu mówią same za siebie — niedługo może być za późno.

Fakt ten przypomina niedawna śmierć Jean Renoira — jednego z wielkich w historii kina. Lecz Jaen Renoir, podobnie, jak René Clair, należy do tych nielicznych, którzy o-

jest na trzy części. Każda z części poprzedzona jest mottami; główną treść stanowią wypowiedzi „ludzi cesarza” ukrywający się przed nowymi władzami, stąd brak nazwisk, opisów postaci itp., ale autor w celach porządkujących i wyjaśniających dodaje do niektórych wypowiedzi swój komentarz. Opowiadający są tak głęboko w swojej psychice skatani cesarzem, że ich stosunek do niego jest chwilami podobny do kultu boskiego. W Europie z takimi objawami kultu spotykaliśmy się co najpóźniej w średniowieczu, a i to nie wszędzie.

Smaku książki dodają niemal sensoryczne okoliczności zbierania do niej materiałów.

Ryszard Kapuściński — „Cesarz”, Czytelnik, W-wa 1978, str. 213, cena zł 25.—

MISTRZOWIE I KOLEDZY

Jana Ciecierskiego znamy wszyscy. Każda jego rola telewizyjna, teatralna czy filmowa jest kreowana z najwyższym kunsztem. Chętnie słuchamy jego ciepłego głosu w radio, gdzie co tydzień odzwiera ponad 20 lat postać Józefa Matysiaka. Teraz prezentuje się nam jako autor.

Sam swoją książkę określa jako „zbiór gawęd” i tak jest niewątpliwie. Ale są to gawędy specyficzne. Dotyczą bardzo wąskiego wycinka naszej kultury, a mianowicie teatru, i to najczęściej teatru międzywojennego. Gdyby przyszło przeciętnemu czytelnikowi wymienić nazwiska kilku najślawniejszych aktorów polskich okresu międzywojennego, to z pewnością byłoby to nazwiska aktorów filmowych Władomir — film był wynalazkiem tamtego czasu, moda na gwiazdy filmowe, choć nie tylko, jest powodem ich większej popularności. Telewizja, a często i kino wznawiają w specjalnych blokach czy audycjach stare filmy. Przy tej okazji mówi się o aktorach.

Przedstawienie teatralne jest dziełem ulotnym, jednogazowym, niematerialnym do idealnego odtworzenia; każde przedstawienie jest inne. W czasach, gdy nie było telewizji, która obecnie przenosi na maty ekran oryginalne przedstawienia teatralne, kroniki filmowe i w ogóle cała maszyna rejestrująca, z przedstawień teatralnych zostały tylko programy, scenopisy, recenzje, plakaty, czasem fotografie. Stąd niewielka nasza wiedza o aktorach teatralnych tamtego czasu; nie myślę, oczywiście, o tych najślawniejszych.

I w tym miejscu dochodzimy do wartości poznawczych książki Jana Ciecierskiego. Jest ona dla czytelnika kopalnią wiedzy z tamtej epoki. Artyści przedstawieni w formie anegdoty, czasem trochę „przez dziurkę od klucza” stają się nam bliżsi i od razu nabieramy do wszystkich sympatii. Poza warstwą anegdotyczną autor podaje w książce wiele faktów, które są przyczynkiem do historii teatru polskiego w ogóle.

Warto odnotować, że o pozycjach wydawanych przez Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, piszemy w tej rubryce dość często i dobrze. Miłej nadziei, że nierzad dostarczą nam one jeszcze okazji do poświęceń im uwagi.

Jan Ciecierski — „Mistrzowie i koledzy”, WAiF, W-wa 1978, str. 208, cena zł 25.—

JAŁOWIEC PRZETRWA SUSZĘ

Ulo Tuulik, prozak i dziennikarz estoński, urodził się w 1940 roku na wyspie Abruca, w rodzinie nauczycielskiej. Po ukończeniu w 1963 roku filologii estońskiej na uniwersytecie w Tartu pracował w redakcjach gazet i czasopism — jednocześnie zajmował się reportażem i miał formę prozatorską. Debiutował jako pisarz w 1965 roku, wydając dziennik podróży po Atlantyku, zatytułowany „Gorące morze Afryki”, a w 1971 roku wydał zbiór opowiadań „Dziesięć w Gibraltarze”.

Pisze o tym wszystkim dlatego, żeby udowodnić, że Tuulik jest świetnie przygotowany warsztatowo do napisania książki, którą prezentuje.

W 1944 roku Ulo Tuulik miał cztery lata. Wraz z rodziną mieszkał na półwyspie Sorve i był ofiarą wydarzeń, jakie tam się rozegrały. Sam niewiele z nich pamięta. Jedynie luźne obrazy. W swojej prawie dokumentalnej relacji z wysiedlenia przez sowieckie władze niemieckie kilku tysięcy mieszkańców estońskiego półwyspu, opiera się na wypowiedziach ludzi, którzy — podobnie jak on — uczestniczyli w tragedii. Wykorzystał listy, dzienniki i ustne wypowiedzi ofiar.

Oprócz materiału dokumentalnego, ale uzyskanego poprzez odpowiedzialną kompozycję i sposób narracji klimat, który wprowadza nas, bez zbędnych komentarzy autor-skich i wytańszeń, w sam środek tragedii. Ludzie żyli w strachu i spokoju, pełni nadziei na zbliżający się koniec wojny, zostają nagle, z dnia na dzień, a wafelnie z godziną na godzinę, wyrzuceni ze swoich domów, pozbawieni dobytku, często rozłączeni z najbliższymi i skazani na tularczkę po obcych krajach, przędzeni niemieckimi „humanitarnymi” rozkazami, które nie pozwalały zostawić ludności cywilnej na terenie przysiężnych dział wojskowych, zostawiając na każdym posterku swoich bliskich, którzy gina z wycieńczenia i głodu. Bezdomni, przeżywają gehennę ostatnich dni wojny z dala od ojczyzny. Ale w momencie, gdy zostają wyzwoleni, wstępuje w nich nowa energia, która kieruje ich kroki do stron rodzinnych, i snów wędrowców także ciężka, ale jakże radosna, każdy krok na wschód przez zniszczone, ale przyjazną im Polskę zbliża ku domowi.

Ulo Tuulik — „Jałowiec przetrwa suszę”, przekład: Wiesława Karaczewska, Czytelnik, W-wa 1978, str. 249, cena zł 20.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Przeczytałem niedawno w „Nowych Książkach” interesującą recenzję pierwszego tomu „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego”. Oczywiście lepiej było przeczytać sam „Słownik”, ale — niestety — nie znalazłem się w gronie dwu tysięcy osób, które to — jakże cenne i jakże potrzebne — dzieło mogły kupić.

Problem kupna potrzebnej, cennej i wartościowej książki przewija się ostatnio coraz częściej przez łamy prasy społeczno-kulturalnej. „Polityka” wprowadziła nawet specjalną rubrykę „Spod lady”, gdzie przeczytałem, że książka „Akcje zbrojne w Warszawie” kosztuje na czarnym rynku dzie więćset złotych.

Niedawno przeczytałem w jakimś wywiadzie,

O KSIĄŻKACH ZNACZKACH I ROZRYWKACH

że „Wojciech Zukrowski pracuje nad scenariuszem według pamiętników gen. Berlinga. Scenariuszyści mają dobre — jeśli im nawet scenariusz nie wyjdzie, to sobie przynajmniej poczytają coś ciekawego.

Jak wiadomo książki to papier — a papier, to makulatura. To proste skojarzenie naprowadziło autorów telewizyjnej „Siódemki” na myśl, aby wśród młodzieży rozpropagować akcję zbierania makulatury na drugie wydanie „Pocztu polskich królów i książek”. Chciano nawet już, od zaraz, zawieźć do „Czytelnika” 6 ton makulatury, ale dyr. Bębnek jakos się wybronił.

Przypomnia mi ten pomysł niegdysiejszą akcję redakcji „Dookoła Świata”, która w latach sześćdziesiątych zaproponowała młodzieży, aby sama sobie budowała samochody. Obłęd ówczesnego pomysłu polegał na tym, że dość powszechnie wtedy sądzono, iż samochody mogą powstawać w domowych warsztatach, a nie w fabrykach zbudowanych w tym celu. Obłęd dzisiejszego pomysłu z makulaturą polega na tym, że edytor powinien mieć tyle papieru, żeby cenne książki wydawać w ilości zaspokajającej popyt i potrzeby intelektualne społeczeństwa.

Oczywiście makulaturę zbierać trzeba, ale to

proste skojarzenie „Siódemki” jest całkowicie bez sensu.

Nawiasem mówiąc, makulaturę znaleźć można nie tylko w składach surowców wtórnych, ale także w księgarniach. Problem nie polega bowiem wyłącznie na ograniczonej puli papieru dla wydawnictw, ale leży (niestety, dosłownie leży) w polityce wydawniczej. Niedawno ukazała się na przykład w nakładzie 150 tysięcy egzemplarzy (słownie stu pięćdziesięciu tysięcy) książeczka zawierająca sto dowcipów o matrymnie. Książeczka jest wydana bardzo starannie — o wiele starannie, niż seria „Biblioteka Kłasyki Polskiej i Obcej”. Dowcipy są — niestety — raczej marne.

Marnie rysuje się również codzienność naszej rozrywki masowej. „Polityka” opublikowała wywiad z Andrzejem Józwiakiem — dyrektorem i kierownikiem artystycznym Estrady Łódzkiej, „Rozrywka nam tydzień” — twierdzi Józwiak i nie jest to — jak można by złośliwie mniemać — wyłącznie subiektywizm dyrektora.

Czy rozrywka to aż taki wielki problem, że trzeba się nad nią zastanawiać na łamach poważnych pism? Sądzę, że tak. Jej rola w kulturze i sztuce może nie jest wielka, ale jej wpływ na samopoczucie społeczeństwa — na pewno wielki. I mimo to — zgodnie z przepisami bankowymi i gospodarczymi — znajduje się gdzieś między salonem fryzjerskim, a warsztatem rzemieślniczym.

Estrady rozliczane są z ilości imprez — i co roku centralne plany nakładają na estrady obowiązek zwiększenia ilości imprez. A jednocześnie te same centralne zarządzenia ograniczają miesięczne limity imprez zespołów estradowych. Ze to sprzeczność? Oczywiście. Poza tym estrady obowiązują jednocześnie przepisy Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Finansów i przepisy bankowe. Często wykluczają się one wzajemnie. Ze to niemożliwe? Oczywiście, ale za to prawdziwe...

Na koniec ciekawostka filatelistyczna. Ogłoszono plan emisji znaczków Poczty Polskiej na rok 1979. Oto z okazji... stulecia wędkarstwa ukaże się sześćdziesięciu znaczków a seria. Natomiast z okazji 35-lecia Polski Ludowej, Poczta Polska wyda... cztery znaczki. Ze to bez sensu? Oczywiście, ale za to z okazji rocznicy Stadyni Koni w Sierakowie, Poczta Polska wyda... osiem znaczków.

Tak więc możemy się pocieszyć, że sprawy niezrozumiałe dzieją się nie tylko w świecie książek i rozrywkę, ale dotknęły także starą, poczciwą filatelistykę. Mała to pociecha — ale zawsze!

WIDOK

PROPOZYCJE

POGOŃ ZA OPTYMIZMEM

Napis umieszczony na początku każdego z odcinków serialu „Ślad na ziemi”, wedle którego wynikało, że wszelkie podobieństwo do rzeczywistości jest tylko przypadkowe, a wszystko zostało wymyślone i jest fikcją, wydawał się sugerować za każdym razem, że na ekranie telewizyjnym będą działy rzeczy niesamowite ukazujące naszą rzeczywistość w ostrym, krytycznym świetle. Ale tak nie było.

Oglądałem kolejne odcinki serialu „Ślad na ziemi” z mieszanymi uczuciami. Po pierwsze — wydawało mi się nieustannie, że albo postacie, które ukazują się na ekranie, albo sytuacje, jakie pokazują nam realizatorzy, albo skądś znam. Było to jakby spotkanie starych i dobrych znajomych, jakby spotkanie w dobranym towarzystwie, gdzie zebrali się sami swoi. A oczekiwałem wraz z innymi widzami czegoś nowego, innego. Jakiejś prawdy o naszych najnowszym czasie. Prawdy przetworzonej artystycznie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że takiej prawdy nie było. Alisli już w konwencji serialu tkwiło chyba błędne założenie, które powodowało, że patrzyło się na ekran i, co na nim się działo z niejasnym uczuciem, że ogląda się coś rzeczywistego, choć mniawiając ci, że to tylko fikcja. Dla nikogo nie było przecież tajemnicą, że realizatorzy sportretowali budowę Huty Katowice. Ale oni sami robili wszystko, aby to przekonanie zostało odrzucone, wymyślając „Wielką Hutę”, a przez to i realność konfliktów odsuwając jakby na plan dalszy. Była to swego rodzaju zabawa w życie. Wszystko wskazywało, że rzecz dzieje się na budowie konkretnej huty, której nazwy lepiej nie wymawiać. Ale dlaczego? — tego do dziś nie rozumiem.

O Nowej Hucie śpiewano piosenki i pisano laurki, a później był „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka. Od tamtego czasu sporo wyrosło — i wiemy, że życie nie jest bezkonfliktowe, ani takie łatwe, ani takie proste, ani takie białe ani takie czarne. Wiemy też, że chociaż bardzo byśmy chcieli, to bez trudności i tak się nie obejdzie. Ta wiedza powoduje, że trudno dziś stworzyć film czy widowisko telewizyjne do końca polukrowane, ale też wiemy, że sztuka musi być optymistyczna, choć nie wolno jej pomijać konfliktów.

Po drugie — wydaje mi się, że wszelkie konflikty w tym serialu wymyślano tylko po to, aby mogły się dobrze skończyć. Znalazło to też odbicie w dialogach. Niekiedy dialogi toczyły się w sposób, który przypominał rozmowy. Jakże nikomu nie są obce. Miały po prostu walor prawdopodobieństwa. Niekiedy — były sztuczne i nieprawdziwe.

Wszyscy zresztą zgodnie podkreślają, że najbardziej prawdziwy był konflikt betoniarzy, którzy chcieli las zabetonować, a w końcu zabetonowali wejście do swego kierownika. Z tego stwierdzenia wcale wszakże nie wynika, że inne konflikty nie były oparte na rzeczywistych realiach. Ale były tak poprowadzone, aby podobieństwo do rzeczywistości było przypadkowe i minimalne.

„Sztandar Młodych” — pismo żywo, dobre i pomyslowo redagowane — opublikował kilka wypowiedzi swoich czytelników o serialu „Ślad na ziemi”. Wśród wypowiedziających się byli też ludzie, którym nieobce są doświadczenia wielkich budów i oni najlepiej wyrażali się o serialu. Dla nich wszystko było czytelne. I w tym upatrywałem słabość „Śladu na ziemi”. Był to bowiem w zamierzeniu serial o wielkiej budowie, a okazał się serialem dla ludzi z wielkiej budowy. Zdaniem inżyniera sanitarnego — Anny Trofackiej — realizatorzy zadbali tu o to, aby nie pominąć żadnego szczegółu, żadnego detalu, z którego składa się rzeczywistość wielkiej budowy”. Czy jednak byli tak drobiazgowi i dokładni w rysowaniu konfliktów? Co do tego mam wątpliwość. Robili raczej wszystko, aby podobieństwo do rzeczywistości było przypadkowe, a także trochę się aż nadto wyraźnie o to, aby wszystko dobrze się skończyło.

Takie są moje refleksje o obejrzaniu siedmiu odcinków „Śladu na ziemi”. I chociaż są one mieszane — bo przecież wraz z kilkoma milionami widzów siedziałem w niedzielę przed telewizorem, aby śledzić losy ludzi budujących „Wielką Hutę” — to nie potępiłbym serialu w czambuł, nie uznał go za film chyboty. Przeciwnie, uważam, że takich filmów potrzeba więcej, że widownia telewizyjna — i nie tylko chyba — spragniona jest tego wszystkiego, co w sposób rzetelny i prawdziwy można i trzeba powiedzieć o naszej rzeczywistości. Ludzie oczekują jednak, że na ekranie pojawiają się tak samo ostro rysujące się konflikty, jak ostro występują one w życiu. I oczekują, że będą się one kończyć dobrze, bo dobre jest wszystko, co dobrze się kończy. Ale nie może to być pogoń za optymizmem na siłę, wbrew realiom i prawdzie psychologicznej. A niekiedy taki zarzut można byłoby postawić realizatorom „Śladu na ziemi”. Niech jednak pocieszeniem dla nich będzie to, że o serialu tym mówi się i dużo i w różnej tonacji. A skoro wywołał on dyskusję, to w jakiej mierze spełnił swoje zadanie. Dobrze i to.

MARCIN RODAK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH ZBIGNIEW KUCHOWICZ



I spotkała autora kara; Szła spod lady jak woda „Radziwiłłówna Barbara”

Rys.: Stanisław Tbis-Grotkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

Może się to komu nie spodoba, ale jestem zdania, że jako społeczeństwo mamy bardzo osłabły stosunek do naszej intelektualnej tradycji. Spoglądamy bowiem na nią nad wyraz jednostronnie, przez pryzmat osiągnięć literackich. Lada poeta lub dziełca ciałych romanów, o ile tylko nie był — jak Henryk Rzewuski — ewidentnym zaprzeczeniem i gorliwym lojalistą, jest u nas czczony i uznawany. Uczymy o nim młodzież w szkole — jeśli nie średniej, to z pewnością wyższej — chrzestny jego imieniem ulice i szkoły. Jeżeli zaś kto co zdziałał na innym polu, aniżeli literackim, o takim człowieku jest zazwyczaj głucho. Jeden z przyjaciół — uczonego, autor kapitalnej książki o Karolu Brzostowskim (pisalem o niej w superlatywach na łamach „Odgłosów”) powiedział mi, że jeszcze całkiem niedawno, przed bardzo niewielu laty, skasowano imię K. Brzostowskiego, jako patrona jednego z prowincjonalnych liceów. Komuś widać przeszkadzało, że patron ten był niewątpliwym hrabią, ktoś nie wiedział — albo nie zwrócił już na taki drobny szczegół — że był przy tym zwolennikiem utopijnego socjalizmu, reformatorem społecznym i gospodarczym w wielkim stylu, który — gdyby był tylko Niemcem, Anglikiem, Francuzem, czy Rosjaninem — byłby z pewnością znany w całym świecie, zaś jego imię przybrałoby liczną placówkę naukową i gospodarczą.

Podaj to być pisarzem — autorem powieści, a najlepiej wierszy. Takim za-

pomina się po śmierci, że — jak Bolesław Prus — wyczył na piórze z socjalistami; opuszcza się odpowiednie teksty w edycjach pism zbiorowych i wszystko staje się łatwe, Gorzej, jeśli kto zajmował się innym rodzajem twórczości intelektualnej, aniżeli literackiej. Wtedy — słusznie i pryncypialnie — podnosimy po-

przeczkę w górę tak, że nikt już jej nie przeszkodzi. Jeśli to historyk sprzed stu lat — to od razu okazuje się, że nie był zwolennikiem nowoczesnej metodologii. Więc go krytykujemy, akcentujemy, że nie dorósł, nie rozumiał, nie dorastał do tego, co nie za jego czasów, ale znaczenie przecież później wyrosło rezultat; co najmniej powściągliwość. He mamy w Polsce ulice, ile szkół, ile domów kultury imienia — np. Joachima Lelewela? Z pewnością bardzo mało, wielokrotnie mniej, aniżeli placówek ochrzczonych imieniem drugorzędnych poetów. A to, że właśnie z tekstów J. Lelewela uczył się historyk narodów słowiańskich niejaki Karol Marks, że imię jego z najwyższą czcią powtarzały generacje polskich — a także zagranicznych — demokratów i rewolucjonistów, to nas obchodzić tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Podobnie jest ze stosunkiem do tradycji filozoficznej. Każdy szanujący się

SPORT

Już za kilka dni, zgodnie z poprzednimi ustaleniami, powinien się zacząć nowy sezon piłkarski. Reprezentanci i olimpijczycy odbyli afrykańskie treningi, spotykając się wprawdzie z nie najsilniejszymi przeciwnikami, ale dobre i to, bo pozwoliło trenerom zorientować się w stanie przygotowania kadry do nowego sezonu. Nim piłkarze wbiegną na oświetlone boisko zajmują się jeszcze raz, łącząc się dyskusją o tym wszystkim, co zazwyczaj dzieje się po boiskiem, a co bez wątpienia ma wpływ na to, co na tym boisku się dzieje i jak się dzieje. Czyli o sytuacji w polskim piłkarstwie, które — jak mówią w tajemniczy — jest bardzo chore, o czym zresztą dobrze też wiedzą kibice.

Po telewizyjnym programie „Potyczki ze sportem”, w czasie którego omawiano sprawy finansowe polskiej piłki nożnej, Jerzy Zmarzlik wystąpił z dość oryginalną tezą w „Przeglądzie Sportowym”. Napisał on tam tak:

„Łódzcy piłkarze całkiem słusznie twierdzą, że należy się im ekwiwalent za granie. Przecież w porównaniu ze swoimi rówieśnikami, którzy nie zawracali sobie głowy sportem i natychmiast po zakończeniu nauki podjęli pracę, mają opóźniony start w podjęciu zawodu, narażają zdrowie, są poważnie obciążeni treningami, rozgrywaniem meczów, podróży i zgrupowaniami niż wspomniani już rówieśnicy, dla których po ośmiu godzinach małej lub bardziej intensywnej pracy reszta czasu pozostaje do dowolnego zagospodarowania”.

Jerzy Zmarzlik dla udokumentowania tej tezy przytacza dwa przykłady: mgr inż. Huberta Kostki i mgr inż. Jacka Cmocha z których pierwszy jest absolwentem AGH i powinien pracować w kopalni, a drugi — Politechniki Warszawskiej i powinien budować mosty. Ale pierwszy trenuje zawodników bytomskich Szombierek, a drugi weskich amatorów w klubie Skeld. Obaj są już po czterdziestce i gdyby chcieli

wrócić do zawodu, to musieliby wszystko zaczynać od początku.

W rozumowaniu tym tkwi jednak pewne niebezpieczeństwo. Można bowiem idąc za jego tokiem dojść do wniosku, że ludzie, którzy poświęcają swoją młodość sportowi, w ogóle nie powinni studiować, gdyż jest to zajęcie fikcyjne i nie rokujące żadnych pozytywnych skutków. Sportowcy błąkają tylko miejsca na meczach, gdyż

PRZED SEZONEM

góry wiadomo, że nie będą później zajmowali się tą dziedziną, którą studują z mniejszym lub większym powodzeniem.

A przecież wniosek jest to zgola fałszywy. Elżbieta Krzesińska skakała w dal i jednocześnie studiowała stomatologię. Do dziś pracuje w swoim zawodzie. Wojciech Zabłocki był u szczytu swojej kariery sportowej, a już wiono o nim szablista-architekt. Więc jednak można pogodzić sport ze studiami. Pod warunkiem, że nie będą to studia wybrane i zaklepane przez działaczy klubowych, którym grozi, że z trudem ściągniętego zawodnika trzeba będzie oddać do wojska. Wtedy już jest wszystko jedno. Dobra jest socjologia, dobra historia. Dobre wszystko. Tylko dla kogo?

Uprawianie sportu jest u nas dobrowolną i nikt nikogo siłą na boisko nie wypycha. Wszyscy wiedzą, że „uprawianie sportu wyczynowego — jak pisze J. Zmarzlik — to nie tylko sama przjemność, same honory i sukcesy, sam miód...”. I że nie wszystkich stać na to, aby „w odpowiednim czasie rozstać się z wyczynowym uprawianiem sportu”. Stąd też nikt nie narzuca potrzeby „ekwiwalentu za grę”, ale — że jeszcze raz zacytuję J. Zmarzlika — „zupnie inny aspekt sprawy to zasadność tych zarobków wynikająca z wkładu pracy...”.

Antoni Piontek w tygodniku „Piłka Nożna” nie bez słuszności zwraca uwagę na rolę działaczy klubowych w rozwoju choroby, jaka dotknęła polskie piłkarstwo. I trzeba się z nim zgodzić, że choroby tej nie rozwiążą automatycznie nowe akty prawne, nad którymi się obecnie pracuje, a które mają unormować zasady wydawania społecznych pieniędzy przez kluby posiadające sekcje piłkarskie. Obawia się on nawet, że „nowe przepisy mogą odegrać rolę odmienną od zamierzonej”, gdyż „energię działaczy zawsze znajdują sposób na zdobycie nieograniczonych środków, a wysoko kwalifikowani prawnicy poradzą sobie z każdym aktem prawnym”. Czyż więc sytuacja jest już beznadziejna?

Działacze z utęsknieniem czekają na rozpoczęcie się sezonu piłkarskiego, gdyż walka o punkty odwróci uwagę od spraw nieprzyjemnych. Bardzo w to wątpię. Właśnie bezpardona walka o punkty zmusza do zajmowania się jej kulisami. I na to nie ma rady.

BOGDA MADEJ

NIE TYLKO HISTORIA

Intelektualista wie, że należy o czas jakiś dać do zrozumienia, że nie jest mu obca europejska tradycja filozoficzna minionego, XIX stulecia. Wspomnienie w rozmowie o Heglu, bardzo dziś popiaca — niewiele jest tych, którzy go rzeczywiście czytali. Ale wspomnienie o jakimś polskim myślicielu z tamtych czasów?

znacząca: o właściwy stosunek do tego wszystkiego, co składa się na intelektualny dorobek poprzednich pokoleń, a nie jest literaturą piękną. O rewolucyjnie zdobyte polskiej myśli na polu historii, filozofii, ekonomii i innych nauk, o przypomnienie zasług, o których powinniśmy pamiętać.

Z REJONÓW ZAPOMNIENIA

Choć nas od tego Opatrzności świecka, toż to dowód absurdalności, a to najmniej intelektualnej aberracji? „Wszystkie Libelty, Trentowski, Cie...” — ktoś się tym dziś interesuje? To, że niegdysy odgrywali oni arcyważną rolę w życiu naszego kraju — nierównie wiek-za od tej, która przypada różnym poetom i dziełcom romansów — o tym można oczywiście zapomnieć. To, że byli myślicielami o europejskim formacie, że z ich poglądami poważnie liczyli się najwięksi myśliciele epoki — o tym z kolei zazwyczaj się po prostu... zapomina. Ze Marks czytał Cieszkowskiego, kogóż to obchodzi?

Felietonista ma prawo wpaść w ironiczny ton, gdy chodzi mu o duże sprawy. Nie mam zamiaru — nie chciałbym, też tak zostać zrozumianym, w niczym podważać znaczenia naszej tradycji literackiej. Bo nie o to mi chodzi. Chodzi mi o sprawę zdawałoby się prostą i jed-

I dlatego z takim zadowoleniem witam kolejne publikacje pism naszych dawnych myślicieli, jak również rozprawy, poświęcone ich życiu i działalności — prace Andrzeja Walickiego i wielu innych uczonych, odkrywających rejony zapomnienia polskiej intelektualnej tradycji. Dlatego z uwagą tropię studia, poświęcone postaciom mało znanym i zapomnianym. Nawet, jeśli nie są to prace aż tak znakomite, by ich lektura zapierała czytelnikowi dech w piersiach.

Dlatego z radością witam ukazanie się — nakładem skromnikitego wydawnictwa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu — monografii Władysława Lewandowskiego zatytułowanej „Jana Majorkiewicza koncepcja filozofii praktycznej” (Poznań 1978), poświęconej zapomnianemu polskiemu filozofowi, o którym dotychczas wiedzieliśmy niewiele więcej, aniżeli nie i nieraz ferowałyśmy niesprawiedliwe sądy. Z pewnością nie

wprowadzimy tego myśliciela do Panteonu naszych narodowych wielkości — to, co o nim powiedział autor wspomnianego dziełka, nie wskazuje, by było to możliwe i celowe. Dojrzymy w nim jednak — mimo całej powłoki niezbyt jasnego języka, jakim się posługiwał — myśliciela, który wychodził naprzeciw potrzebom i pragnieniom Polaków swego pokolenia, który — jak pisze o nim W. Lewandowski — niejednokrotnie podkreślał, że „zaspokojenie potrzeb podstawowych stanowi niezbędny warunek rozwoju jednostki ludzkiej, zaś jedyną drogę prowadzącą do tego celu w warunkach polskich widział w uprzemysłowieniu kraju, unowocześnieniu rolnictwa oraz intensyfikacji pracy i rozwijaniu nauk, które mogą wpłynąć na usprawnienie działalności praktycznej narodu”.

Jak na człowieka, którego działalność przypadła na najtrudniejsze lata niedzypowstaniowe — zmarł bowiem J. Majorkiewicz w 1847 r. w wieku lat 27 — nie było to niewiele. Nie zdążył on ostatecznie skryształizować swoich młodzieńczych koncepcji filozoficznych. Ale ktoś zdołałby to uczynić w ciągu tak krótkiego życia? Dobrze, po stokroć dobrze, że zapomniany dorobek przedwcześnie zgasięgo myśliciela został przypomniany. A ile jeszcze czeka nas pracy, by krytycznie zweryfikować to, co niegdys dokonali inni, zapomniani intelektualści sprzed stu i więcej lat?

ANDRZEJ F. GRABSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefon: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawiających rekwizytów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skróć. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 378. A-12.